WDP im. J.P. w Łodzi

Egzemplarz obowiązkowy
Nr. Ks. nab. 3 Data 2.VIII.48

Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 1 sierpnia 1948 r. Nr 31 (152)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Chcąc stworzyć sobie spokojną dla pracy myśli atmosferę duchową, trzeba wprzód zwyciężyć jej wrogów.

Wacław Nałkowski

TREŚĆ NUMERU:

NAGRODA „ODRODZENIA“

ANDRZEJ STAWAR — **SIENKIEWICZ PRZED „TRYLOGIĄ“**

ANDRZEJ BRAUN — JERZY MILLER — ANNA POGONOWSKA — **WIERSZE**

MIECZYSŁAW WALLIS — **MALARSTWO W WALCE O LEPSZY ŚWIAT**

RYSZARD MATUSZEWSKI — **O „SAMSONIE“ KAZIMIERZA BRANDYSA**

ADOLF SOWIŃSKI — **OJCIEC I SYN**

STANISŁAW NADZIN — **NARADA**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

LESZEK KOŁAKOWSKI — **O WYDAWNICTWACH MARKSISTOWSKICH**

BOLESŁAW GEBERT — **ROLA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH W OFENSYWIE KULTURALNEJ**

MARIUSZ MARGAL — **PARYSKI CZERWIEC 1948**

NOTY

NAGRODA „ODRODZENIA“

Tegoroczną nagrodę „Odrodzenia“ otrzymał Jerzy Andrzejewski za powieść pt. „Popiół i diament“. Najpoważniejszym kontrkandydatem Andrzejewskiego, autorem utworu, który wśród wyróżnionych znalazł się na pierwszym miejscu, był Adolf Rudnicki. Na dalszych miejscach, jako brane pod uwagę w głosowaniu, znalazły się kolejno utwory: Tadeusza Borowskiego — „Pożegnanie z Marią“, Heleny Boguszewskiej — „Czekamy na życie“, Ksawerego Pruszyńskiego — „Karabela z Meschedu“ i Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe“.

Ponadto wyróżniono następujące utwory: Kazimierza Brandysa — „Samson“, Jerzego Broszkiewicza — „Oczekiwanie“, Haliny Marii Dąbrowskiej — „O Karolu Irzykowskim“, Marii Dłuskiej „Wersyfikacja polska“, Stanisława Dygata — „Pożegnania“, Pawła Hertza — „Sedan“, Ludwika Hirschfelda — „Historia jednego życia“, Stefana Kisielewskiego — „Zbrodnia w dzielnicy północnej“, Jana Kotta — „O „Lalce“ Prusa“, Wacława Kubackiego — „Krytyk a twórca“, Michała Rusinka — „Prawo jesieni“ oraz „Igraszki nieba“, Stefana Szumana — „O istocie i kunszcie poezji lirycznej“, Władysława Tatarkiewicza — „O szczęściu“, Wojciecha Żukrowskiego — „Piórkiem flaminga“, Mirosława Żuławskiego — „Ostatnia Europa“, Joanny Żwirskiej — „Cienie ojczyzny“.

SĄD KONKURSOWY nagrody „Odrodzenia“, w którego skład wchodzili: Zofia Nałkowska, Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, prof. Juliusz Kleiner, prof. Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka i Stefan Żółkiewski, — stanął wobec niewątpliwie trudnego zadania. Obok wielu wybijających się swym poziomem utworów, zasługujących na uwagę, choćby w postaci wyróżnienia, musiał dokonać wyboru między conajmniej dwiema książkami, których wartość artystyczna i społeczna w równej mierze przemawiała za przyznaniem autorowi nagrody.

Za książką Andrzejewskiego przemawiały: odważne sięgnięcie po trudny, związany z dzisiejszym dniem temat i ujęcie go w formie dostępnej dla szerokich mas czytelniczych, za Adolfem Rudnickim — niemniej odważnie i w sposób niezwykle głęboki porającym się z najistotniejszymi problemami współczesności, przede wszystkim ambitna, niespokojna i poszukująca własnej oryginalnej drogi — forma artystyczna.

Przechylenie szali decyzji na rzecz książki Andrzejewskiego oznacza położenie nacisku na moment społecznej komunikatywności

Adolf Rudnicki

Jerzy Andrzejewski

utworu. „Popiół i diament“ ma niewątpliwie większe szanse dotarcia do tych nawet grup w naszym społeczeństwie, których postawa wobec walki o nowy ład we współczesnej Polsce jest pełna oporów i zahamowań, i których wyrobienie artystyczne jest mniejsze, aniżeli to, jakiego wymaga ocena artystyczna utworów Rudnickiego, kunsztownych, a jednocześnie bezkompromisowych w osądzie najdrażliwszych zagadnień społecznych i moralnych naszego życia.

Książka Andrzejewskiego łączy w sposób świadczący o niezwykłym talencie autora doskonałe rzemiosło pisarskie z ambicjami przystosowania go do potrzeb czytelnika, szukającego w literaturze nie tylko wzruszeń estetycznych, ale rowiązania nurtujących go problemów moralnych. Trafi ona również do tych, których pociąga przede wszystkim interesujący wątek akcji powieści, dla których lektura jest w pierwszym rzędzie zaspokojeniem potrzeby poddania się urokowi pisarskiej fikcji. Pod tym względem „Popiół i diament“ o wiele silniej, niż bliska formy essay'u proza Rudnickiego, związany jest z tradycyjnym nurtem rozwojowym powieści jako gatunku literackiego.

Zakres zagadnień, które porusza nagrodzona książka Andrzejewskiego, obejmuje ponadto, jak to niejednokrotnie podkreślali jej krytycy, główne i zasadnicze treści społeczne pierwszych chwil odbudowy naszego życia po wojnie. Jest to książka bliska wszystkim, i niezależnie od zastrzeżeń, jakie budzą rozwiązania, a raczej brak rozwiązań niektórych problemów jakie stawia, — książka najściślej związana z walką, jaką toczy cały obóz postępu w Polsce. To też przyznanie świetnemu autorowi „Dróg nieuniknionych“, „Ładu serca“ i „Nocy“ nagrody „Odrodzenia“ za rok 1948, przyjąć należy z pełnym, bezwzględnym uznaniem.

Tu samo pełne uznanie budzi wybór większości dalszych pozycji wyróżnionych przez sąd konkursowy. Znalezienie się na trzecim miejscu po Andrzejewskim i Rudnickim to-

Tadeusz Borowski

mu opowiadań niezwykle utalentowanego prozaika najmłodszego pokolenia — Tadeusza Borowskiego manifestuje pozytywny stosunek jury do twórczości śmiałej i bezkompromisowej, pełnej realistycznej pasji w odkłamywaniu rzeczywistości, co podnosili zawsze krytycy tego autora. Książki Heleny Boguszewskiej i Lucjana Rudnickiego są kontynuacją wspaniałej i żywej tradycji polskiej literatury społecznej, tworzonej zarówno przez pisarzy, którzy społecznej służbie poświęcili wytrawną znajomość artystycznego rzemiosła, jaki przez ludzi przychodzących do literatury zzewnątrz, wnoszących do niej świeże spojrzenie i głębię doświadczeń świadomych bojowników o wolność i socjalizm.

Długa lista dzieł, które sąd konkursowy postanowił wyróżnić, zawierająca szereg niewątpliwie cennych pozycji, świadczy dowodnie o pomyślnym wbrew opinii niektórych sceptyków rozwoju literatury w Polsce dzisiejszej. Obok wybitnych osiągnięć w dziedzinie prozy artystycznej, jak choćby „Samson“ Brandysa, „Oczekiwanie“ Broszkiewicza, „Pożegnania“ Dygata czy „Sedan“ Hertza, — spotykamy tu, co podkreślić należy z uznaniem, po raz pierwszy w dziejach nagrody „Odrodzenia“ dzieła z zakresu teorii literatury i krytyki literackiej, a mianowicie książki — Marii Dłuskej, Jana Kotta, Wacława Kubackiego i Stefana Szumana.

Świadczy to niewątpliwie o wadze, jaką przywiązuje się do roli i zadań krytyki i pozwala żywić nadzieję na szlachetne współzawodnictwo pisarzy również i w tej dziedzinie twórczości literackiej.

ANDRZEJ STAWAR

Sienkiewicz przed „Trylogią“ *)

I

POWIEŚĆ NASZA ma tradycje względnie świeże, co w XIX w. wiązało się z opóźnieniami rozwoju społecznego i kulturalnego kraju. Gdy odrabianie tych opóźnień poszło w drugiej połowie wieku szybciej, ilościowy wzrost prozy odpowiada coraz bardziej nowym zainteresowaniom. Niemniej jednak powieść, reprezentowana przez wybitnych skądinąd autorów jak Kraszewski, Rzewuski, Korzeniowski, Kaczkowski, Jeż oraz inni, nosi jeszcze piętno drugorzędności artystycznej. Dopiero czasy pozytywizmu przyniosły tutaj przełom. Wiąże się on z trzema nazwiskami pisarzy, którzy utrwalili stanowisko powieści jako głównego rodzaju literackiego. Z owej trójcy powieściopisarskiej najwcześniej wystąpiła Orzeszkowa urodzona w r. 1841 — wyprzedzając młodszych o lat kilka rówieśników — Henryka Sienkiewicza i Aleksandra Głowackiego, piszącego pod pseudonimem Bolesław Prus, — którzy jednak mieli wysunąć się na czoło wśród współczesnych artyzmem i doniosłością swych dzieł.

Henryk Sienkiewicz urodził się 4 maja 1846 r. w Woli Okrzejskiej na Podlasiu w niezbyt zamożnej rodzinie szlacheckiej **). Matka, Stefania Cieciszowska, pozostawała w bliskim pokrewieństwie ze znakomitym historykiem demokratycznym, Joachimem Lelewelem oraz głośną swego czasu pod pseudonimem Deotymy, poetką Jadwigą Łuszczewską, Rodziny Cieciszowskich i Lelewelów — (ci względnie świeżego mieszczańskiego pochodzenia) posiadały pewne tradycje intelektualne. Natomiast w rodzinie ojca przeważał zawód wojskowy. Dziadek był oficerem napoleońskim. Ojciec w młodości służył w wojsku, później gospodarował na wsi — dzieci miał sześcioro. Starszy brat Kazimierz zginął podczas wojny francusko-pruskiej w 1870, walcząc w oddziale słynnego przywódcy włoskich demokratów Garibaldiego.

Chłopiec spędzał dzieciństwo na wsi, mieszkając u rodziców, bądź u babki w Woli Okrzejskiej. Tam znalazł obfitość książek i druków, z których zaledwie nauczywszy się czytać, poznał literaturę staropolską. W 1858 r. rozpoczął naukę szkolną w gimnazjum realnym w Warszawie — mieszkał na stancji, na ulicy Świętojańskiej — z czwartej klasy przeszedł do gimnazjum filologicznego. Uczył się średnio — natomiast zwracał uwagę profesorów wypracowaniami z języka polskiego.

W roku 1863 rodzice sprzedali majątek Wężyczyn i przenieśli się do Warszawy, kupując mały dom na Pradze. Wielu ówczesnych ziemian deklasowało się pod wpływem zniesienia pańszczyzny i zmiany warunków gospodarowania. Naukę szkolną Henryk skończył w 1865 r., przyjął posadę guwernera w domu ziemiańskim, przygotowując się jednocześnie do egzaminów. Maturę zdał dopiero w 1866 r. i wstąpił do Szkoły Głównej, początkowo z powodu nalegań rodziców na medycynę, później przeniósł się na wydział filozoficzno - historyczny, studiując historię. Były to ostatnie lata Szkoły Głównej — powstała w okre-

*) Z przedmowy do wydania zbiorowego dzieł Sienkiewicza nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

**) Gruntownie opracowanego życiorysu Sienkiewicza nie ma właściwie. Najwięcej szczegółów biograficznych zawierają szkice Ferdynanda Hoesicka w zbiorze pt. „Sienkiewicz a Wyspiański“. Hoesick jako biograf pozyskał opinię nieszczególną, słynął z lekkomyślności, małostkowości i skłonności do plotkarstwa. Niektóre z tych szkiców mają adnotacje, iż były opatrywane poprawkami własnoręcznymi przez Sienkiewicza.

sie reform i ustępstw — została zlikwidowana z przejściem rządu carskiego do zdecydowanej polityki rusyfikacyjnej. Jako student, wedle świadectw współczesnych, Sienkiewicz nie wyróżniał się szczególnie. Trzymał się na uboczu od kolegów z Wydziału, między którymi było kilku wybitnych i nie brał udziału w życiu umysłowym studenterii.

Pisać zaczął jeszcze w latach szkolnych, zarówno wierszem jak i prozą. Poza recenzją teatralną, przygodnie drukowaną w warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym", pierwsze opublikowane prace Sienkiewicza to studia literackie o poetach staropolskich: Mikołaju Sępie Szarzyńskim i Kasprze Miaskowskim, drukowane w roku 1869 i 1870. Prace świadczyły o żywych zainteresowaniach autora wiekiem XVII w naszej literaturze, co później miało się wydatnie przejawić.

Studia wyższe ukończył Sienkiewicz w roku 1870, już po zamianie Szkoły Głównej na Uniwersytet z językiem wykładowym rosyjskim. W latach następnych pisuje artykuły krytyczne do „Przeglądu Tygodniowego", programowego organu pozytywistów. Drukował tam „Humoreski z teki Worszyłły", brał też udział w zbiorowym tłumaczeniu powieści Victora Hugo „Rok dziewięćdziesiąty trzeci".

W „Humoreskach z teki Worszyłły" humoru w ścisłym znaczeniu niewiele — więcej satyry. Autor przedstawia młodego szlachcica o poglądach postępowych, borykającego się z zacofaniem środowiska i ginącego wskutek własnych błędów oraz wrogości otoczenia. Bohater Wilk Garbowiecki odznacza się zarówno drażliwością, jak i nieumiejętnością postępowania z ludźmi. Powziął na przykład zamiar oświecić swoich parobków, ale do nauki popędza ich wygrażając kijem. Otoczenie ziemiańskie zraża sobie tyleż postępowymi poglądami, co i opryskliwością postępowania. Ginie w pojedynku. Autor bierze pod obstrzał zacofanie i wstecznictwo szlachty, próbując ogólnemu obrazowi przeciwstawić typ pozytywny. Słabość artystycznego wykonania sparaliżowała oddziaływanie utworu.

Powieść „Na marne" okazana w rękopisie Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, zyskała gorące pochwały „za przedmiot z własnego lub widzianego i znanego życia, za malowanie z natury" — słowem za realizm. Czytana dzisiaj wyda się blada, konwencjonalna, — inaczej wyglądała na tle współczesnej beletrystyki. Akcja dzieje się w Kijowie, w środowisku studenckim. Zresztą Kijów w powieści poza drugorzędnymi szczegółami nie istnieje — rzecz mogła się dziać w każdym dużym mieście. Przedstawiając znane sobie środowisko i typy, autor oddalił teren akcji, prawdopodobnie aby uniknąć doraźnych zestawień, drażliwości czy plotek.

Powieść, nie będąc utworem autobiograficznym w ścisłym sensie, daje niewątpliwie przeżycia autora z czasów studenckich. Obraz utrzymany w barwach szarych i posępnych — tło stanowią rozczarowania życiowe, nędza młodzieży biedniejszej, ucisk różnic społecznych. Na zapytanie świeżo przybyłego kolegi: „Pod jaką tedy chorągwią wy stoicie?" — student Gustaw odpowiada — „Pracy i biedy. My nie mamy swojego nazwiska. Chłopomani*) zowią nas piekarczykami. Każdy z nas stara się zamieszkać tam, gdzie piekarz, zaznajomić się z nim i wyrobić sobie kredyt. To nasz sposób; zaufanie mamy. Większość z nas nie jada nic ciepłego, ale bułek na kredyt dostaniesz tak długo jak zechcesz". Wymowne są słowa poświęcone również niewiaściwemu wyborowi kierunku studiów i przygnębiającym tego skutkom. Sienkiewicz sam początkowo poszedł wbrew zamiłowaniom własnym na medycynę, później zmienił kierunek — bohater jego brnie dalej, trawiąc w sobie gorycz. Wątki miłosne, traktowane częściowo w stylu romantycznym, autor stara się po swojemu odkonwencjonalizować. Podobnie gdy chodzi o stronę obyczajowo — społeczną, co musiało ująć Kraszewskiego, wydać mu się „wzięte z życia". Bohater powieści nazywa się Szwarc — nie chodzi o pochodzenie niemieckie, ale wyraźnie o plebejuszowskie. (Podobnie bywało we współczesnej powieści rosyjskiej, u Gonczarowa np. w powieści „Obłomow" bohater, reprezentujący pozytywne cechy mieszczańskie nosi nazwisko Sztolc).. Wypadki związane z zamieszkiwaniem w wielkiej kamienicy miejskiej, stykają go z podupadłym arystokratą i jego córką. Szwarc to człowiek dzielny, wytrwały — przytem szlachetny, zdolny do poświęceń — zawikłania życiowe, w które wchodzi, wynikają właśnie ze skłonności do poświęceń. Odznacza się praktycznością, czym ratuje hrabiankę po śmierci ojca od zatonięcia w odmętach wielkomiejskich. Pb tylu utworach w naszej literaturze, które wystawiały przejścia młodzieńców niższego pochodzenia, kochających się w arystokratkach i związane z tym upokorzenia, mamy tu niby odwet na tradycyjnym temacie miłosnych niedoli plebejskich, — uczuć maltretowanych przez względy nierówności pochodzenia. Dzielny, męski Szwarc staje się nieosiągalnym ideałem powabnej hrabianki, — skądinąd wzajemny jej, obowiązek poświęcenia się dla innej stawia wyżej niż miłość.

Próba odwrócenia wątku tradycyjnego łączy się więc z ujęciem zjawiska deklasowania się szlachty rodowej. Młody autor obraz obyczajowo — społeczny schematyzował idąc raczej śladami Sue'go, Victora Hugo niż Balzaka. W kilkanaście lat później Sienkiewicz miał wrócić do typów i sytuacji z „Na marne", w sposób zasadniczo odmieniony w dramacie „Na jedną kartę".

*) Synowie bogatej szlachty, niekiedy kresowej.

II

Lata studenckie i początki zawodu literackiego szły Sienkiewiczowi ciężko. W pewnym okresie powziął nawet zamiar opuszczenia kraju i wzięcia posady przy budowie wielkiego mostu na Wołdze. Nastrój zniechęcenia i goryczy, ujawniony w pierwszych utworach, nie stanowi osobliwości młodego autora, — w podobnej sytuacji pozostawało wielu młodych inteligentów szlacheckiego pochodzenia. Dzieciństwo i wczesna młodość zeszły im w warunkach pewności sytuacji materialnej ojców: zniesienie pańszczyzny radykalnie zmieniło warunki gospodarowania na wsi — odpadła darmowa dotychczas siła robocza. Gospodarka wymagała znacznego nakładu kapitału. Dziedzice, którzy tego nie mieli, wedle współczesnego wyrażenia „wysadzeni z siodła", przenosili się do miasta. Do życia w nowych warunkach okazywali się również słabo przystosowani — nie posiadając ani kapitału, ani kwalifikacji zawodowych, które by pozwoliły im zająć takie stanowisko społeczne, do którego czuli się powołani. Synowie ich znajdowali się w ciężkich warunkach startu życiowego, niż synowie mieszczaństwa. Wspomnienia i pretensje, związane z dawną pozycją społeczną, stają się cierniami utrudniającymi życie. Plebejusz, człek niskiego pochodzenia, choćby dlatego, że nawykły do niedostatku, do trudności życiowych, lepiej dawał sobie radę niż panicz z podupadłej rodziny. Silny typ Szwarca odbija niby marzenie — gdybym mógł zostać takim, jak ten syn kowala — silny, zaradny, praktyczny, łatwo obywający się małym. Sytuacja życiowa pchała młodego szlachcica między biedotę studencką „piekarczyków", — oddalała zaś od „chłopomanów", synów ziemiańskich, którzy zachowali dawną pozycję gospodarczą.

Wydana powieść, uznanie Kraszewskiego, pisarza o największym wówczas autorytecie umocniły pozycję Sienkiewicza. Zostaje stałym współpracownikiem redakcji nowopowstałego pisma pozytywistów „Niwa" (r. 1872), obejmuje felieton tygodniowy (na przemian z innymi autorami) w „Gazecie Polskiej". Owe felietony i kroniki zostały później oddzielnie wydrukowane pod tytułem: „Mieszaniny literacko-artystyczne", oraz „Chwila obecna" (nagłówki odpowiednich rubryk w czasopismach, w których się ukazywały). Działalność sprawozdawcy i felietonisty Sienkiewicz prowadził przez lat kilkanaście — aż do roku 1883, gdy zajął się przede wszystkim pisaniem powieści. O swej pracy dziennikarskiej autor „Mieszanin" wyraża się bez entuzjazmu, nawet z pewną goryczą, niemniej stanowi ona etap nader doniosły w rozwoju pisarza.

Był to okres żywego rozwoju prasy warszawskiej, unowocześniania jej metod, pozyskiwania wpływu. Ostateczne zwycięstwo kapitalizmu tak w mieście, jak i na wsi, związany z tym przewrót w stosunkach społecznych pociągały za sobą przemiany w dziedzinie kultury.

Pozytywizm warszawski, który dawał wyraz ideologiczny tym zmianom, określano też jako ruch „młodej prasy". Hasłem naczelnym staje się rozwój gospodarki, oświaty i kultury, jako czynników odnowienia społeczeństwa, wyrwania go ze śpiączki i zacofania, obudzenia krytycyzmu. Prasa nabiera charakteru bardziej masowego, oddziaływuje na bez porównania szersze koła społeczne niż poprzednio. Walka z tradycjonalizmem, z utartymi wierzeniami, z prawdami odwiecznie przyjmowanymi na wiarę — służy wyciągnięciu ogółu na wyższy poziom życia oraz myślenia. Podrywa się nie tylko zastarzałe przesądy i wierzenia, ale i historyczne przywileje klasowe arystokracji, szlachty i duchowieństwa. Energicznie ze świadomością opóźnienia nawiązywano do historycznych dążeń trzeciego stanu zarówno w filozofii, jak w życiu społecznym. Wprawdzie ruch odbywał się w okresie zastoju politycznego, ale tym silniej uwydatniano sprawy kulturalne i gospodarcze.

Felietony Sienkiewicza w pierwszym okresie, idą w zgodzie z owym prądem umysłowym. Autor wydrwiwa w nich cudzoziemszczyznę, nicość umysłową, snobizm arystokracji, małpującej ją szlachty oraz duchowieństwa, nie szczędząc zresztą przytyków nowobogackim z mieszczaństwa. Biegoteria, zacofanie obyczajowe, tępy opór wobec nowych dążeń umysłowych, ślepe trwanie przy starym, podnieca nerw satyryczny, daje motywy bezpośrednich, wziętych z życia obrazków.

Znaleźć można w owych felietonach tematy najróżnorodniejsze — ostre naświetlenie obyczajów złotej młodzieży arystokratycznej i sprawy porządków miejskich, omówienia premier teatralnych i opis pożaru fabryki, polemiki literackie i sprawę organizacji straży pożarnej w mieście powiatowym itd., itd. Kroniki pisane żywo, plastycznie, cieszyły się znacznym wzięciem u czytelników, a i dziś dają się czytać z zainteresowaniem — nierzadko znaleźć można obrazek, dający się zestawić z epizodami najlepszych nowel. Wykład zwięzły, bez dłuższych wywodów, gubienia się w szczegółach, — ogólnie biorąc te szkice i felietony stanowią przykład dobrej szkoły dziennikarsko-publicystycznej.

Sienkiewicz w obozie pozytywistycznym nie wysuwa się zbytnio naprzód, — nie angażuje się w torowaniu drogi nowym poglądom w tym stopniu, jak to robił Świętochowski, z powieściopisarzy Orzeszkowa czy Prus. Chętnie zajmuje pozycję kompromisową, skłania się do złotego środka. Przy ośmieszaniu współczesnej złotej młodzieży znajdziemy westchnienie — dawniej lepiej bywało, czasem upodobanie w starym obyczaju. Unika też stanowczego tonu w sporach zasadniczych, tak w sprawach społecznych, jak i literackich — sądy ostrożne „umiarkowane" mogły sprowadzić na młodego autora posądzenie o pewien oportunizm, co zresztą się zdarzało.

Jako się rzekło, Sienkiewicz pisał o swej pracy dziennikarskiej z pewną goryczą. Ciążył mu lekki ton felietonisty, przymus regularnego dostarczania materiału niezależnie od natchnienia i weny autorskiej. W związku z tym biografowie przeważnie litują się nad młodym pisarzem wielkiego talentu, zapędzonym na kilkanaście lat do orki dziennikarskiej. Zwłaszcza przedmiot do ubolewań daje pierwszy redaktor Sienkiewicza, niejaki Sikorski — ignorował on zdolności młodego współpracownika, kroślił mu niemiłosiernie w felietonach to, co uważał za poezję, za literaturę i wołał o fakty. „Chcąc też wyrobić „niesumiennego" młodzieńca, powierzał mu najlichsze i najpospolitsze roboty reporterskie" — (podaje Hoesick „Sienkiewicz a Wyspiański").

Warto spojrzeć na sprawę z innej nieco strony. Sienkiewicz, jak w ogóle pisarze — artyści, miał w usposobieniu pociąg do deformowania zjawisk w kierunku estetyzacji — nieraz się to przecie ujawniło w jego twórczości. Ale ta skłonność do estetyzmu, do podporządkowania materiału życiowego sprawom pięknego pisania, — o ile nie bywa powściągana — staje się manierą, wypacza dyspozycje psychiczne autora — przechodzi w pewien kabotynizm artystowski. Widać to nieraz u młodych pisarzy, od początku nastawionych na pisanie artystyczne. Starają się oni upiększać swój styl, piszą coraz ładniej, a bywa iż przepiększają nieznośnie. Okresy ich pomysłowo ułożone, wymuskane, zaondulowane, uszminkowane zaczynają w końcu razić i odpychać. Niejeden talent na tym się potknął.

Długoletnia szkoła dziennikarska jakkolwiek uciążliwa, przykra, właśnie dlatego, że szła na przekór inklinacjom artystowskim pisarza, przysłużyła mu się później w niejednym. Szkoła pisania faktograficznego wyrabiała zrozumienie dla materiału życiowego i zbliżała do czytelnika. U Bolesława Prusa również działalność powieściopisarską poprzedziło przygotowanie dziennikarskie. Miało to swoje strony ujemne, zwłaszcza gdy chodziło o sprawy formy, o technikę pisania — o czym niżej — ale w sumie korzyści były bez porównania większe niż szkody. Nieraz słyszy się o wyjałowiającym, niszczącym talent wpływie pracy dziennikarskiej. Praca ta, jak widzimy, nie zniszczyła jeszcze talentu ani Prusowi, ani Sienkiewiczowi, podobnie jak nie zniszczyła Dickensa i całego szeregu autorów, którzy przygotowanie pisarskie odbywali w gazetach.

III

Zimą roku 1876 Sienkiewicz wyjeżdża do Ameryki. „Gazeta Polska" drukuje jego korespondencje pod tytułem „Listy z podróży", a później „Listy z Ameryki". Podróż, jak wyjaśniają biografowie, pozostawała w związku z projektami wyjazdowymi słynnej artystki Heleny Modrzejewskiej, która wybierała się zagranicę z mężem i rodziną. Sienkiewicz miał zbadać teren amerykański przed jej wyjazdem. Sama Modrzejewska pisała o projektach „dobrowolnego wygnania" szeregu osób spośród ówczesnej cyganerii artystyczno-literackiej Warszawy. Autor „Listów z podróży" robi aluzje do ciężkiej atmosfery warszawskiej, nawiązując do wrogości sfer „dobrze myślących", arystokratycznych, rozbudzanej przez jego felietony — co powodowało również napaści osobiste.

Jak wskazał Papée, pierwsze korespondencje wykazują pożyczki i parafrazy z „Zarysów Ameryki" Dickensa. Wynikało to może stąd, iż młody autor pochłonięty wrażeniami z podróży miał zbyt mało materiału i musiał to nadrabiać zapożyczeniami. Stopniowo jednak rozwija własne spostrzeżenia, zaznacza samodzielność ujęcia.

„Listy z podróży" cechuje żywa, nieraz trafna obserwacja, wrażliwość na przejawy życia miejscowego. Uderza podkreślanie kontrastów nie tylko obyczajowych, ale i społecznych, w czym Dickens mógł być również wzorem. Na przykład opisując przejażdżki arystokratycznych dziewcząt w parku londyńskim — daje zaraz po tym, ostry dramatyczny obraz młodego pudelkarza w tymże Hyde Parku - nędzy, upadku fizycznego i umysłowego nieodłącznych od luksusu uprzywilejowanych.

Ówczesne Stany Zjednoczone w kilkanaście lat po wojnie domowej stały jeszcze na progu swego rozwoju przemysłowego. Rozległe, niezaludnione przestrzenie, stepy, puszcze z obfitością zwierzyny — to obraz kraju spopularyzowany przez liczne powieści podróżnicze. Obok normalnej kolonizacji, przeprowadzanej w celach spekulacyjnych przez towarzystwa akcyjne, sprowadzające imigrantów z Europy, by ich osadzić na pustkowiach — istniała napół rozbójnicza penetracja w dawnym stylu pionierskim, wywłaszczająca, niszcząca indyjskich tubylców. W tym czasie nastąpiło powstanie plemion indyjskich Zachodu, staroświeckim obyczajem zdzierających skalpy z białych najeźdźców. Jednym z bohaterów tych walk był Sitting Bull, rozsławiony później przez literaturę podróżniczą i zeszytową. Słowem, ówczesne Stany Zjednoczone obfitowały we wszelkiego rodzaju kontrasty, dające sposobność do ujmowania obrazu w sposób przyjęty w literaturze egzotycznej, ale także i do gruntowniejszych obserwacyj społecznych. U Sienkiewicza mamy jedno i drugie — spostrzeżenia robione w duchu pozytywistycznym rysują w korzystnym świetle społeczeństwo rozwijające się swobodnie bez więzów pozostałości tradycjonalnych, choć nieraz w sposób dziki i chaotyczny. Zwłaszcza antyfeudalny styl życia autorowi „Listów" zdecydowanie się podoba, mimo iż ludzie tamtejsi rażą go manierami i sposobem zachowania się. Niechęć do feudalnych urządzeń i pozostałości łączy się z nutą antyklerykalną, przejawioną na przykład przy oświetleniu roli Irlandczyków w Stanach Zjednoczonych. Wyrażając się o nich z sympatią Sienkiewicz jako ujemną cechę podkreśla uległość wpływom kleru.

„Mają jednak Irlandczycy swoje złe strony. Leniwi są, zwłaszcza w pierwszym pokoleniu, od Amerykanów bez porównania burzliwsi, pochopni do politycznych awantur; stanowią zatem żywioł, zwłaszcza w Rzeczypospolitej, bardzo niebezpieczny. Pozostając przytem bez żadnego wyjątku w ręku księży, mogą wytworzyć z czasem potężną partię klerykalną, która już dlatego w każdym państwie jest szkodliwą, że swoje wyłączne cele za najważniejsze uważa; w Stanach Zjednoczonych zaś może przytem z upływem lat, popsuć ową harmonię, w jakiej żyją dotychczas rozmaite wyznania religijne".

Wyłożony tu pogląd na rolę klerykalizmu znamionuje ówczesne stanowisko Sienkiewicza nie tylko w sprawach amerykańskich — owszem występuje to nieraz w oświetleniach sytuacji w kraju, robionych pod kątem porównań w owych „Listach".

Entuzjazm, jaki widzimy niekiedy u autora „Listów" w związku z opisem życia czy urządzeń spotykanych w Anglii lub Ameryce, stanowi rys ówczesnej postępowości. Pamiętamy, iż w Polsce pańszczyznę zniesiono na kilkanaście lat przed tym — pozostał jeszcze obyczaj niewolniczego traktowania ludzi pracy. Kraje zwiedzane przez Sienkiewicza przeszły były złożone procesy rewolucji mieszczańskiej, co wywarło niezatarty wpływ na ich urządzenia społeczne, na stosunek wzajemny poszczególnych klas. W Polsce do fasonu szlacheckiego należało lekceważenie działalności produkcyjnej. Poszanowanie, elementarne uznanie dla pracy ludzkiej, należało wywalczać — staczano o to boje publicystyczne. Świadectwem liczne felietony samego Sienkiewicza. Jeśli dziś jeszcze spotykamy szlachecki typ myślenia i odczuwania, to wówczas ciążył on nieznośnie. Mieszczaństwo zachodnie poszanowanie dla działalności produkcyjnej miało we krwi. Mimo przejawów wyzysku, obserwowanych na każdym kroku — Sienkiewicz i na to był wrażliwy — odmienności te uderzały niezmiernie.

Dzisiaj mamy co innego. „Zacofany" wówczas Wschód wyprzedza pod tym względem klasyczne kraje burżuazyjne. Wpływy rewolucji proletariackiej wprowadziły nowy przewrót w stosunkach międzyludzkich — jeśli Sienkiewicz porównuje na przykład rozmach filantropii mieszczańskiej w Anglii z małostkowymi, nędznymi przejawami dobroczynności sfer „dobrze urodzonych" w kraju — to w swoim czasie miało to wymowę dość ostrą — dziś są to już sprawy przebrzmiałe.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Andrzej Stawar.

MŁODA POEZJA

W bliskim czasie ukażą się nakładem „Książki" tomiki wierszy młodych poetów. Ze zbiorków drukujemy kilka utworów

Andrzej Braun

ANNA POGONOWSKA

W PRZYSZŁOŚCI

Oto ziemia szczęśliwa. Jak strzały słoneczne ludzie
Wypalają się równo w spokoju powietrza
Gasną płomienie w czas swój. Wysoko wybiega dym,
Ciszą spieniona śnieży się droga mleczna.
Jedynie ptak rozdarty przez jastrzębia
Podpala błękit krwią, strąca gwiazdę cierpienia
I księżycowi skarży się pies, nie wie, że boga złotego
Zdeptała stopa ziemian.

* * *

Kiedy ptaki przelatują nad lasem
Tam już nie ma liści,
Żołędź szronem błyszczy,
Kamyk uwiązł w ziemi jak w skale.

Nad rzeczułkę nie pójdzie dziewuszka
Rzeczułka zamarzła,
Dziewuszka umarła,
Jak kropelka przesącza się chmurka.

A barwinków, pierwiosnków któż narwie?
Mały brat jest ślepy
Złoży snop czeremchy,
Promień o gorącej barwie.

Anna Pogonowska

ANDRZEJ BRAUN

O RÓŻY

O róży, która nigdy oczu nie przymyka
o róży, którą kuszą zaklęcia słowika
o róży, co rozkwita na policzkach dzieci
o kwiecie, który sławią wstydliwi poeci
o róży, którą wielbi nocą skromny słowik
o róży, która szepty czule śle wiatrowi
o róży, która świadczy, że piękno jest siłą
o róży, z której młodzi wróżą sobie miłość
o pąku, który noszą modrym zmierzchem w klapach
o róży purpurowej, co ma tkliwy zapach
o róży, która cicho wspina się na kraty
o róży, którą kochą biedny i bogaty
o kwiecie, który w bieli zasypia na trumnach
o róży, która czysta, cicha jest i dumna
o róży, której wnętrze lśni jak krwi kropelka
która kwitnie w flakonach drogich i butelkach —
róży jesiennej wargi u fontanny mokną
różę przyślą z biletem, lub wrzucą przez okno
wnętrze róży ma miękkie, słodkie podniebienie
róże pienią się, płoną niebem jak płomienie
a herbaciane róże mają takie płatki
jak ogrzane rumieńcem skronie mojej matki —
o róży, którą chronią próżno kolce ostre
róży, co przypomina córkę mą, lub siostrę
o róży, którą noszę w książce twojej wiernie
o róży, która mówi, że kwiaty i ciernie
o róży, która ściąga uśmiechy człowieka
o róży daj mi pisać, godzino nielekka.

WIEC W HALI LUDOWEJ

Sztandarów krwawe sople zawisły jak skrzepy
nad łąką głów, gdzie jasno bieliły się twarze —
ogromny Lenin patrzał wśród węgla i krepy
na partię, co bezsennie stoi przy sztandarze.
Podium grzmiało w mikrofon, czerwieni wodospad,
łyse czaszki prezydium, słów bolesnych chłosta.
Towarzysze! — binokle skrzą się wśród pożaru —
Towarzysze, camarades! — (oto proste słowo
a zamyka ludzkości drogę ideową) —
Górnik z Nord — i słuchacze o spojrzeniu twardym
Ten sam jest los człowieka od Grecji do Ardern.
Wkrąg kurty kolejarskie. Mają niskie płace —
te profile zawzięte gdzieś pod murem straceń
stały trzy lata temu w chłodnych syren świście,
wczoraj sabotaż — dzisiaj: pierwsi oczywiście
w wielkim wyścigu pracy krew tchnęli w arterie
węgiel dając fabrykom i zdrowie — na żer je
rzucając w trud budowy. Oto propagandzie
knebel w usta. Vive Thorez! Jedność na wokandzie!
Cisnęli się górnicy w rondelkach i kitach
wyciągając spocone szyje do człowieka, który ich witał.
Hałd szarym betonem rozpinała stropy
promienistą rozetą w niebo Europy.
Tej obecnej, gdzie nocą zbierają się tłumy —
po całodziennej pracy drga zmęczony umysł
tarcze z herbem miast śląskich nad otchłanią płyną
reflektory ściekają srebrną parafiną
balsamując oblicza kamienne i brudne.
W wyziewach dusznej ciszy, mrugając oczyma
pochłaniali z wysiłkiem słowa nazbyt trudne
od megafonów rosnąc jak piersi olbrzyma...
Żar oczu spływał w pocie świetlistej pozłoty
korzystali z doświadczeń, rozumne istoty.
Huśtawka reflektorów przepływa nad głębią
słowa francuskie, myśli w obraz się zazębią
ściska paznokcie płaskie, szczerniałe od trudu
ciężka walka strajkowa francuskiego ludu.
Strzały do robotników. Oni im przypięli
czerwony kwiat do piersi, na koszul flaneli.
Żaden rząd ni cenzura nie powie dziś: kłamstwo
tam robotnicy w Rosji wznoszą własne państwo.
Palili, szarpali, mordowali męcząc,
grozili, kłamali, dławili interwencją
Wie Thorez, wie francuski i polski robotnik.
Drobny chłopiec z dziewczyną, gdy gmach pękał wrzawą,
zrozumiał obcy język, długo bili brawo,
chcesz ty zrozumieć, ręką do jej piersi dotknij.
Jej ojcu esesman stanął butem na krtani,
robotnicy francuscy są zdecydowani...
Rankiem pójdzie silniejszy, piec łuną rozpali —
dla wszystkich ludzi świata tworzymy socjalizm.

NADZIEJA

Kiedy wiatr przenosi planety
Nachylam się nad dzieckiem maleńkim
Jak liść wiosną ono zaświta,
Jak wschód żyta.

Brzoza błękit gałęzi skłoni,
Chaber gwiazdę rozpryska woni —
Kształt człowieczy, zmarszczka przestrzeni,
Ziarno ognia na łonie zimy.

Jerzy Miller

* * *

W drganiu listowia, w słońcu,
ciała osypał piasek,
cieniste rzek zaskrońce
w krążeniu drobin pierwiastków.

w cząsteczkach, w pędach roślin,
w kryształkach soli, wapnia,
w rozkwicie winorośli,
kwiatów wiążące zapach.

W nienasycenie i w pełnię,
w odpływy i powroty,
pogardy całopalenie,
miłości barwne zaloty.

Po świetlnym toczy się runie
ten żółty kwiat, gwiazda,
jaskier jak krzem po piorunie
zlepia się z cząstek piasku.

Różne są myśli nadchodzące
o różnych porach
i rozłączone to co łączę —
dziś — inne wczoraj.

Orbitą trwania i ruchu
niedoścignięte wzory
pokarmu i próchna,
znamię dwoistej metafory.

JERZY MILLER

ARTERIE

Wibruje przyśpiew opon
na linii wężowej asfaltu,
powietrza szklany opór
od sopranu sięga do altu.

Wapienniki w mgle białej
zawracały za wirażu nawias
i koksowni sypkim miałem
szczerniała skurczona trawa.

Pod mostem martwe
stajały lody zimy
i rzeką węglarzy tratwy
odpływały w niziny.

Tu rosną sosny karlice
i gleba po deszczu mokra
piasku wysycha werniksem,
— z drzew odpadała kora,

słyszałem ziemi szepty,
pociągów korale czarne,
kopalń gwarny kolektyw
hujnym kiełkował ziarnem.

Znaczone plamą gliny
i nagłą bielą wapna
hałdy jak piramidy
obłoków zasnuła kapa.

Pod fabryk dymną kopułą
osiedli dogasły okna
wieczoru powielane łuną,
spełzłe w latarń widoku,

we dnie zaparowane szyby,
baraków spękane ściany
tonęły w zgrzytach dźwigów
na struny stalowej lianie.

W kraju jak węzeł miast
pod szczelnym hut pióropuszem
widziałem konstelacje gwiazd,
wiosny wyraźne arkusze —

z potoku cennej magmy
wylewy srebra toczyły
węgielne i rud pokarmy
wielkością pulsujące żyły.

MIECZYSŁAW WALLIS

Malarstwo w walce o lepszy świat

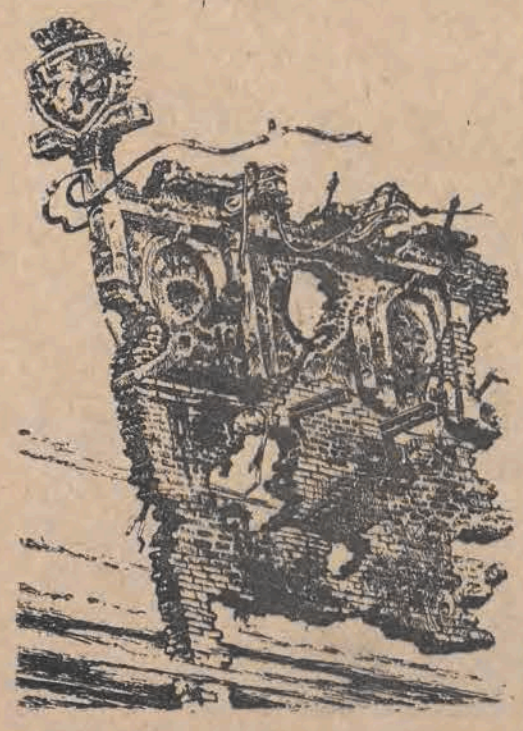

Bronisław W. Linke Sztandar

ZAPOWIEDŹ

Na dorocznym pokazie w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie w r. 1931 można było oglądać, w jednej z pomniejszych sal pierwszego piętra, dziwne utwory, przypominające w charakterze fotomontaże: rysunki, połączone z wykrawkami z gazet. Wykrawki mówiły o zdarzeniach krwawych i tragicznych a ponure i niesamowite były również zespolone z nimi rysunki. Utwory te odcinały się ostro od wszystkich innych obrazów, znajdujących się na wspomnianej wystawie: od pejzaży i martwych natur, w których malarzy interesowały tylko zagadnienia układu i kolorytu, i od obrazów figuralnych, w których malarze opracowywali tradycyjne tematy religijne w stylu włoskiego lub holenderskiego baroku. Tutaj mieliśmy przed sobą kogoś, kto posługiwał się wprawdzie jeszcze środkami prymitywnymi i nieudolnymi, lecz reagował żywo na rozdźwięki i tragedie współczesności, kogoś, kto żył życiem swej epoki.

Owe osobliwe kompozycje miały podpis: Bronisław Linke.

PRÓBY

Głównym nauczycielem Linkego w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych był Tadeusz Pruszkowski. Pruszkowski i jego uczniowie uprawiali przede wszystkim malarstwo olejne. Linke początkowo usiłuje również wypowiedzieć się przy pomocy farb olejnych. Świadczy o tym, m. in. namalowany w roku 1935 obraz p. t. „Jatka". Widzimy tutaj za ladą otyłego rzeźnika; dokoła zwisają krwawe połcie mięsa. A więc studium kolorystyczne, symfonia gorących tonów czerwonych i brązowych, w rodzaju tych, jakie malowali Rembrandt lub Sutin? Nic podobnego. Strona kolorystyczna nie interesowała tutaj Linkego. Chodziło mu o co innego. Obok odartych ze skóry i poćwiartowanych trupów zwierzęcych mamy w tej niesamowitej jatce również głowy, ręce i embriony ludzkie. A więc makabra? Niewątpliwie. Podnosi ją jeszcze przez kontrast pudrująca się przy kasie panienka. Ale to jeszcze nie wszystko. Lada, za którą zasiada rzeźnik, ozdobiona jest figurkami kobiecymi i malowidłami: po środku łabędzie na stawie, po obu stronach różowe mordy świńskie wśród róż. Mamy tu, słowem, satyrę na drobnomieszczańską sentymentalność i upodobanie do kiczu. Treść obrazu jest bogata. Ale to nagromadzenie okropności w obrazie olejnym większych rozmiarów jest czymś nie do wytrzymania. Linke musiał sobie z tego zdawać sprawę, gdyż odtąd głównym jego środkiem wypowiadania się staje się nie obraz olejny, lecz rysunek, podkolorowany akwarelą.

KRYSTALIZACJA

W r. 1935 na wystawie „Loży malarskiej" (następnego w kolejności chronologicznej, po „Bractwie św. Łukasza", stowarzyszenia byłych uczniów Tadeusza Pruszkowskiego) w Instytucie Propagandy Sztuki Linke miał salę osobną. Przekraczając próg tej sali, wchodziliśmy w dziwny niesamowity świat, świat ponurych i dręczących fantazyj. W świecie tym rzeczy martwe przybierały kształty i rysy ludzkie, ludzie zaś byli nieraz zbudowani z osobliwych aparatów i maszyn. Zarówno zaś owe uczłowieczone przedmioty martwe, jak owi zmaszynizowani ludzie, byli przy tym przedstawieni z drobiazgową precyzją i pełnią, tak jak gdyby to były postacie rzeczywiste. Najbardziej zaś niepokojące w tym wszystkim było to, że ten cały niesamowity, makabryczny koszmarowy świat, przedstawiony w obrazach Linkego, nie był tylko czystą fantazją, fantasmagorią senną, zmyśleniem, lecz jakby wyolbrzymieniem i kwintesencją pewnych stron świata rzeczywistego. Była to sztuka umyślnie jaskrawa i niepokojąca, świadomie tendencyjna, o wyraźnym obliczu ideowym. W swych ponurych fantazjach Linke piętnował zakłamanie patriotyczne i świętoszkostwo; biurokratyzm, miażdżący w swych trybach jednostkę; przerost reglamentacji wszelkiego rodzaju; militaryzm i ubóstwienie wojny; niesprawiedliwość społeczną i wszechwładzę pieniądza.

Szereg obrazów silnie wrażał się w pamięć na tej wystawie. „Plac Wolności", po którym wolno poruszać się tylko tak, jak to wskazują liczne strzałki. „Podanie": spłaszczony i zmiażdżony petent, przypięty spinaczem do pliku dokumentów z różnymi pieczątkami, podpisami, znaczkami stemplowymi i t. p. „Wyrok": ręka podpisująca wiecznym piórem wyrok śmierci, przy czym z pióra wyłania się skurczona postać skazańca z czołem oblanym potem, ze śmiertelnym przerażeniem w oczach.

Wszystkie te utwory świadczyły, że talent Linkego dojrzał, że znalazł on właściwy sobie „rodzaj" i styl malarski i że ustaliła się jego postawa ideowa.

WZBOGACENIE TEMATYKI

W r. 1938 Linke miał swą własną wystawę w t. zw. Salonie Koterby przy ul. Kredytowej w Warszawie. Rodzaj, styl malarski i postawa ideowa pozostały, w zasadzie, te same. Zdumiewał nadal kunszt drobiazgowego i precyzyjnego rysunku i mistrzowskie posługiwanie się kolorem jako czynnikiem nastrojowym. W dalszym ciągu Linke stawiał w swych utworach pod pręgierz biurokratyzm, militaryzm i hurra-patriotyzm, kapitalizm i mamonizm. Satyra na człowieka współczesnego osiąga swój szczyt w obrazie, przedstawiającym postać, która zamiast głowy ma rezerwuarek z wodą i zamiast siedzenia — miskę klozetową, w prawicy trzyma zaś Pismo Święte, nadziane na bagnet karabinu. Ironiczny napis na rezerwuarku głosił: „Ecce homo".

W serii obrazów, powstałych po podróży po Śląsku Górnym i Opolskim, do dawnych tematów i tonów przybywają nowe. Linke ukazuje się nam tutaj jako przenikliwy znawca psychiki drobnomieszczanina niemieckiego.

Pisałem wtedy w „Wiadomościach Literackich" (nr 761 z 22 maja 1938 r.): „W cyklu, poświęconym Śląskowi Górnemu i Opolskiemu, w obrazach jak „Walcownia" i „Sortownia", bezlitosny wyzysk górnika i robotnika zostaje ukazany z ponurą, demoniczną mocą. Do ostrej żrącej satyry na „burżuja", kapitalistę, barona węglowego, przyłącza się nadto w tym cyklu motyw nowy — jadowita satyra na psychikę drobnomieszczanina niemieckiego — i może na psychikę niemiecką w ogóle. Trzeba przypatrzeć się tylko tym widokom z Bytomia, trzeba obejrzeć w nich jeden po drugim różne odrysowane z nieomylną dokładnością szczegóły, by wyczuć wyraźnie pewne rysy tej psychiki — przedziwne połączenie pedanterii, przesadnego upodobania do czystości i schludności, ładu i porządku, z tolerowaniem najgorszych brudów społecznych; stałe poświęcanie człowieka — systemowi; spętanie jednostki niezliczoną ilością wszelakich zakazów; ubieranie tępego, bezmyślnego, drobnomieszczańskiego wegetowania w pozory i maski z czasów feudalizmu, średniowiecznego rycerstwa lub zgoła pragermańskich, strojenie zniemczonych Ślązaków — Gorcnych i Tschybulka'ów — w Lohengrinów i Parsifalów".

W OBLICZU RUIN

Większą część wojny Linke przebył w ZSRR. Brał udział w walce z hitleryzmem przy pomocy rysunków satyrycznych i plakatów propagandowych. Po powrocie do kraju, jednym z jego przeżyć najsilniejszych stały się — ruiny Warszawy.

W w. XVIII ruiny były tematem melancholijnych, sentymentalnych elegii, w pierwszej połowie w. XIX — przedmiotem romantycznych uniesień. Zachwycano się ich malowniczymi kształtami, wzruszano się widokiem przyrody wdzierającej się w świat ludzki i w osobliwy sposób zespalającej się z nim, upajano się poezją wspomnień dziejowych, związanych ze zwaliskami sławnych budowli. Ruiny zamczysk nadreńskich lub Colosseum były źródłem natchnienia niejednego poety romantycznego. Potrzeba zachwycania się zwaliskami była tak wielka, że w braku ruin autentycznych tworzono — sztuczne. Warszawa miała również taką sztuczną ruinę — stanowiła ona dekorację teatru na wyspie w parku Łazienkowskim.

Można było delektować się zwaliskami, póki ich było w Europie stosunkowo niewiele i gdy pochodziły one z czasów zamierzchłych. Dziś, gdy spora część naszego kontynentu jest jedną wielką, świeżą ruiną, trudno nam rozkoszować się nimi z punktu widzenia estetycznego. Zwłaszcza, gdy są to ruiny naszego miasta rodzinnego.

Linke w ruinach Warszawy ujrzał wielkie cmentarzyskó, rojące się od czaszek i piszczeli ludzi pomordowanych lub pomarłych z głodu i zarazem pełne niesamowitych widm, upiorów i straszydeł. Same zwaliska kamienic warszawskich przybrały dla niego kształty gigantycznych postaci ludzkich. W rysunku „Powrót do kraju" zmasakrowany dom wyciąga olbrzymie ramiona z cegły i chyli głowę o włosach z rur żelaznych do klęczącego na ziemi repatrianta. Samotnie sterczący mur na gruzach ghetta przybiera postać Żyda, modlącego się z zasłoniętą twarzą. Jeszcze inne domy przemieniają się w walczących żołnierzy-powstańców. Mętne spłukane szaro-lila lub czarno-szare tony potęgują jeszcze ponury nastrój tych obrazów.

Po mistrzowsku posługuje się nieraz Linke w tych obrazach jakimś drobnym, umiejętnie podpatrzonym szczegółem. W jednym z nich demonstruje nam dom, który bomba lotnicza rozpłatała od góry do dołu, obnażając bezwstydnie jego wnętrzności. Z mieszkań pozostał tylko pion urządzeń kanalizacyjnych i na jednej ze ścian — kopia „Wenery" Giorgione'a w złotej ramie. W tym samym obrazie widzimy, obok zwalonych bezładnie latarń ulicznych, szyn tramwajowych, rur wodociągowych, maleńką zabawkę dziecinną, drewnianego konika na biegunach, drobną rzecz martwą, która przeżyła swego właściciela i wala się teraz, nikomu niepotrzebna, na pobojowisku. Bezsensowność tej zabawki w tym właśnie miejscu podkreśla jeszcze bardziej zgrozę dokonanego tutaj spustoszenia. W innym obrazie Linke ukazuje nam ruinę, z której wyłania się upiór w postaci kościotrupa. Na zwaliskach czytamy zaś napis: „kapce sznurkowe — tanio — Hoża 2". Tak blisko sąsiadują ze sobą niesamowitość i trywialność, martyrologia i życie powszednie.

W tych utworach powojennych nie protest i bunt, lecz rozpacz i ból są nutą dominującą.

RODOWÓD, STYL, IDEOLOGIA

Obok sztuki, opiewającej krasę świata, istniała bodaj zawsze sztuka, lubująca się w przedstawianiu tego, co okropne i makabryczne, pragnąca wyrazić to, co ciemne i niesamowite w duszy ludzkiej. Malarstwo Linkego należy do tego właśnie kręgu. Pewne podniety zawdzięcza on erotystom i satanistom z okresu modernizmu, jak Rops lub James Ensor (w czasie pobytu w Szkole Sztuk Pięknych silne wrażenie wywarła na niego książka Jana Topassa „Szlakami dusz twórczych", zawierająca studia o artystach tej epoki). Przede wszystkim jednak wielkimi przodkami jego sztuki są: twórca „Kaprysów" i „Okropności wojennych" — Goya oraz Brueghel i Bosch.

Gwałtowność satyry społeczno-politycznej łączy Linkego z Goyą, z artystów współczesnych zaś — z Georgem Groszem. (Natomiast styl malarski Linkego nie ma nic wspólnego ze stylem Grosza. Grosz nawiązuje do naiwnego, posługującego się niemal wyłącznie kreską, rysunku dziecięcego i osiąga efekty swoiste przez kontrast użytych środków i tego, do czego te środki służą).

Bronisław W. Linke ilustracja z książki K. Truchanowskiego

W demaskowaniu psychiki mieszczańskiej, w szczególności w ośmieszaniu mieszczańskiej sentymentalności i mieszczańskiego upodobania do kiczu, Linke spotyka się z Daumierem i Groszem, zaś ze współczesnych artystów polskich — z Władysławem Daszewskim (dekoracje do „Moralności pani Dulskiej" i „Porwania Sabinek").

Widzenie zbliska, drobiazgowość, linearyzm, nawrót do barw miejscowych, tworzenie obrazów przeznaczonych do oglądania częściami, „po kawałku": wszystko to łączy Linkego z przedstawicielami t. zw. „weryzmu" lub „nowej rzeczowości", kierunku, który na Zachodzie około r. 1925 stanowił reakcję zarówno przeciw impresjonizmowi, jak przeciw ekspresjonizmowi. Niektórzy członkowie „Bractwa św. Łukasza", jak Jan Gotard i Bolesław Cybis, starsi koledzy Linkego w Szkole Sztuk Pięknych, zbliżali się do tego kierunku i mogli tutaj oddziałać na Linkego. Poszczególne fragmenty rzeczywistości Linke przedstawia z niesłychaną drobiazgowością i precyzją, w sposób, który możnaby określić jako skrajnie realistyczny lub naturalistyczny. Ale z tych ultrarealistycznie ujętych szczegółów buduje on zwykle całości pełne niesamowitej fantastyki.

Linkego określano niekiedy jako „surrealistę". Wszystko zależy oczywiście od tego, co się rozumie przez „surrealizm". Jeśli przez „surrealizm" rozumieć twórczość o ile możności wolną od kontroli intelektu, automatyczne notowanie wszystkiego, co przepływa przez świadomość, to malarstwo Linkego jest przeciwieństwem surrealizmu: jest to bowiem sztuka najściślej kontrolowana przez intelekt. Trudno również uważać Linkego za surrealistę, jeśli się traktuje surrealizm jako próbę ucieczki „z rzeczywistości zdrowego rozsądku w krainę szaleństwa, snu i absurdu" (Jan Kott). Można natomiast widzieć punkt styczny między Linkem a surrealizmem w niespodzianym, zaskakującym łączeniu ze sobą elementów, zaczerpniętych z różnych dziedzin bytu. Zespala to zresztą Linkego nie tylko z surrealistami, ale również z tymi malarzami, którzy dzisiaj uchodzą za poprzedników tej właśnie strony surrealizmu, jak Bosch lub Grandville (rysownik francuski z czasów Restauracji i Ludwika Filipa, twórca cyklu niesamowitych fantazyj p. t. „Un autre monde").

Podczas jednak gdy dla większości surrealistów tworzenie fantastycznych postaci i przedmiotów jest celem samo przez się, niesamowity świat, przedstawiony przez Linkego, jest jakby wyolbrzymieniem i spotęgowaniem a przez to zarazem obnażeniem pewnych ujemnych stron rzeczywistości społecznej i, tym samym, pobudką do buntu przeciw nim, wezwaniem do walki z nimi. Linke przedstawia koszmary po to, żebyśmy się zbuntowali przeciw nim i dążyli do ich zlikwidowania.

Malarstwu tego typu — malarstwu agitacyjnemu, propagandowemu, wzywającemu do czynu — sam obraz nie może wystarczyć. Linke wprowadza przeto do swych obrazów pierwiastki „literackie", często w znaczeniu najściślejszym, mianowicie w postaci utworów słownych. Już pierwsze jego kompozycje były montażami z rysunków i wycinków z gazet. Podobnie w jego dziełach późniejszych roi się od wszelkiego rodzaju utworów z liter — napisów, haseł, szyldów, ogłoszeń, plakatów.

Niekiedy sam obraz powstaje dzięki chwytowi o charakterze wyraźnie literackim, językowym, słownym, mianowicie dzięki temu, że artysta bierze w sposób nieoczekiwany jakąś przenośnię dosłownie. Tak np. w obrazie p. t. „Ziemia karmicielka" widzimy powierzchnię ziemi pokrytą wzgórkami w kształcie piersi kobiecych, z których sączy się mleko; w obrazie p. t. „Awiomatka" mamy kobietę, która rodzi — samolot.

Stwierdzając, że sztuka Linkego jest przesycona pierwiastkami intelektualnymi i literackimi, nie chcę jej przez to pomniejszyć. Jeszcze wciąż pokutuje u nas mniemanie, że pierwiastki literackie w jakimś dziele malarskim dyskwalifikują to dzieło. Co do mnie, to sądzę, że pierwiastki literackie nie mogą uratować dzieła, które wiele pozostawia do życzenia pod względem czysto malarskim, ale mogą podnieść jeszcze wartość dzieła, które ma samo przez się poważne walory czysto malarskie. Mniemam, że tak właśnie jest w przypadku Linkego.

Sztuka Linkego, jak to już podnosiłem kilkakrotnie, miała od samego początku wyraźne oblicze ideowe — społeczne i humanitarne, zwracała się przeciw biurokratyzmowi i przerostowi reglamentacji, militaryzmowi i mamonizmowi, niesprawiedliwości społecznej i wyzyskowi człowieka przez człowieka.

Poprzez obrazy Linkego — pisałem w roku 1938 w „Wiadomościach Literackich" — „przemawia nie tylko krzywda umęczonego polskiego robotnika lub górnika. Przemawia przez nie krzywda i ból współczesnego podeptanego i zmasakrowanego człowieka". Było to w „czasach pogardy", w latach poprzedzających bezpośrednio II wojnę światową, gdy atmosfera w środkowej Europie, zatruta przez hitleryzm i faszyzm, stawała się coraz trudniejsza do zniesienia. Wiele z tego, co Linke zwalczał wówczas, należy dzisiaj już szczęśliwie do przeszłości. Ale niejedno zło istnieje nadal i namiętna satyra Linkego jest pod pewnymi względami wciąż aktualna.

Mieczysław Wallis

RYSZARD MATUSZEWSKI

O „Samsonie“ Kazimierza Brandysa

Kazimierz Brandys

BIBLIJNY SAMSON jest bohaterem o kręconych włosach: obcięcie mu ich przez Dalilę, namówioną do nadludzkiej sile, ukrytej w długich, tego przez podstępnych wrogów, obezwładnia go, czyni słabym jak dziecko. Samson Kazimierza Brandysa, Jakub Gold, jest żydowskim chłopcem w Polsce. Data urodzenia: „trzydziesty siódmy października, tysiąc dziewięćset szesnaście“. Imiona rodziców: „Ojciec Leon, błogosławionej pamięci. Kupiec, urodzony w P.“ Dowiadujemy się tych szczegółów od razu, niczym na przewodzie sądowym. I rzeczywiście jest to prawie przewód sądowy. Ściślej: przesłuchanie w śledztwie. Jakub jest wyznania mojżeszowego, ale uważa się za Polaka. Chodzi do polskiej szkoły. W domu jego mówi się po polsku.

Jakiż to wypadek od razu, z punktu, stawia współczesnego Samsona w kolizji z porządkiem prawnym jego otoczenia? Wydarzenia, które przytrafiają mu się w pierwszej z dwu dość odrębnych części, na jakie rozpada się opowiadanie Brandysa, mogłyby słusznie stać się podstawą do uważnia go za wyjątkowego „pechowca“. Zaczyna się od bójki z kolegą i typowo „pechowego“, niestosownego zachowania się po pijanemu w miejscu otoczonym publiczną czcią. Wydarzeniem następnym jest popełnienie przezeń przypadkowego zabójstwa. I w pierwszym i w drugim wypadku bohater nie ponosi właściwie żadnej winy za czyn, którego jest sprawcą, mimo to odpokutowuje zań ciężko. I w pierwszym i w drugim wypadku jest sprawcą a zarazem niemal biernym narzędziem kierującej nim jak gdyby z zewnątrz siły, obezwładnionej następnie przez siłę inną, której bohater musi ulec.

Czy konflikt tych dwu sił — siły, która pcha współczesnego Samsona do aktów ocenionych na ogół zgodnie przez środowisko za akty przestępcze, i siły, będącej wykładnikiem osądu tego środowiska — jest konfliktem znajdującym tu swój wyraz w sferze moralnej, psychologicznej? Sądząc z tematu tak by dziać się powinno: jednostka w konflikcie ze społeczeństwem, dramat zadraśnięcia zbiorowych uczuć, dramat nieumyślnego zabójstwa. Niczego podobnego nie znajdujemy jednak w „Samsonie“. Autor opowiadania, który w pierwszej swej książce, „Drewnianym koniu“, poświęcił wiele stronic na psychologiczną interpretację klinicznego stanu neurozy, jakiej objawy zdradza ówczesny jego bohater — wyrzeka się tu niemal całkowicie bogactwa możliwości, tkwiących w psychologicznej analizie myśli i uczuć zarówno głównej postaci, jak tych, które ją otaczają, sprzyjają jej lub występują w stosunku do niej w sposób wrogi. Motywy działania jednych i drugich sprowadzone zostają do elementów najprostszych. U Jakuba wynikają bezpośrednio z samych wydarzeń. Wydarzenia te powoduje nie tylko czyjaś indywidualna złość czy namiętność i nie tylko złośliwy przypadek. Pomaga im namiętność zbiorowa, siła społeczna, której Jakub pada ofiarą. Przypadek sprawia, że zrazu jest on przez nią silniej dotknięty niż inni, ale w szerszej perspektywie to co się dzieje nie jest przypadkiem. Jakub nie jest tylko skrzywdzoną przez los jednostką, jest jednym z wielu. Pamiętamy dobrze owe czasy. Jakub Gold jest jeszcze uczniem gimnazjum w prowincjonalnym mieście P., kiedy nastroje związane z przyjazdem do tego miasta grupy studentów z zielonymi wstążeczkami w klapach, wyrażają się w sykniętym mu po raz pierwszy w twarz przez kolegę obelżywym słówku — „parch“. Syknięć takich wiele pada w owych latach. Ostrożność i doświadczenie w znoszeniu cierpień u tych, których znieważają, sprawia, że najczęściej nie wywołują one bezpośredniej reakcji. Ale Samson, duży, dziecinny chłopiec, wychowany w domu w tych samych polskich tradycjach, jakie otaczały chłopięce lata większości jego szkolnych kolegów i rówieśników, nie zna jeszcze wybiegów życiowej przezorności i na zniewagę reaguje zrazu w sposób impulsywny. Co ważniejsze nie rozumie on z początku o co chodzi ludziom noszącym w sobie chorobę nienawiści. „Czego oni chcą?“ — pyta matkę i najbliższego z kolegów. Czyż nie jest on takim samym chłopcem jak inni, czyż w jego zachowaniu, upodobaniach, w trybie życia jest coś, co go od nich różni? Przecież tak samo jak oni zbiera znaczki pocztowe, gra w piłkę i rozczytuje się w awanturniczych powieściach! Nad jego łóżkiem tak samo wiszą emblematy patriotyczne, stereotypowy Kościuszko i książę Józef...

Ale życie w tragicznej epoce nienawiści szybko leczy Samsona ze złudzeń. Młodzieńczej przygodzie w domu kolegi, którego pragnąłby uważać za przyjaciela, towarzyszą ironiczne spojrzenia i niechęć spotkanych tam obcych ludzi, oraz trzykrotne, smagające jak bicz wypomnienie pochodzenia i rasy. Po raz pierwszy pada ofiarą haniebnej denuncjacji. O język i wyznanie pyta go również sędzia podczas przesłuchania.

Jakub jest chłopcem dobrym i w otoczeniu swym szuka przyjaźni. Postęp haseł nienawiści i zakreślone przezeń różnice w sytuacji społecznej oddalają go jednak coraz bardziej od polskiego środowiska, w którym się wychował i żył, którego przedstawicielem jest jego kolega szkolny Szarlej. W ponurym klimacie studiów uniwersyteckich przyjaźń łączy go już tylko z będącym w tym samym co on położeniu Arturem Joasem. Pierścień nienawiści zacieśnia się. „Jakub ludziom w Warszawie nie ufał. Na ulicy trzymał się blisko muru, żeby nikomu nie wejść w drogę“. „Jakub w Warszawie żył sam“.

Mimo to, tragiczny wypadek w jednej sekundzie czyni go z ofiary przestępcą, udaremnia nawet te, koniecznością podyktowane, środki ostrożności. Katastrofa wtrąca Jakuba Golda do celi więziennej, z której nie wydobędą go już stosunki żadnego z przyjaciół.

Opowiadanie Brandysa jest konstrukcją wyzbytą z treści przypadkowych, wyłuskaną z elementów akcesoryjnych i zdobniczych. O Jakubie wiemy akurat tyle, ile trzeba, aby umiejscowić go i określić społecznie. Pod względem psychologicznym nie wykazuje on na ogół cech, które by go w jakiś zdecydowany sposób różniły od każdej innej jednostki przynależnej do tej samej grupy: rok urodzenia 1916, ojciec kupiec, wyznanie mojżeszowe, język domowy i szkoła — polskie. Dokładnie to samo wiemy o każdej z innych postaci występujących w „Samsonie“: o matce bohatera, jego przyjaciołach, jak Tolo Szarlej, Artur Joas, towarzyszach doli, jak Wacław Pankrat, kasjer Malina, Fiałka i Gienio Apfel. Mają one przejrzystość i prostotę skończonych i zamkniętych typów społecznych.

Rygory, jakimi obwarowuje Brandys wprowadzenie tych postaci na scenę swego opowiadania, są tak ścisłe jak rygory sceniczne: ani jednej postaci, która nie byłaby konieczna w przebiegu akcji zasadniczej, ani jednej, która nie byłaby w przebiegu jej wykorzystana. Tego rodzaju racjonalizm w epickiej opowieści, w dodatku opowieści, która nie otwiera malowniczych perspektyw na świat subiektywnych, wewnętrznych przeżyć bohaterów, świadczy o pełnym opanowaniu przez Brandysa praw ścisłej konstrukcji, której poczucie i jak gdyby „obnażenie“ uderza przy lekturze opowiadania.

Jest przy tym rzeczą niewątpliwą, że u Brandysa konstrukcja ta odgrywa nie inną rolę, niż ujawniona w bogactwie szczegółów ogólna prawidłowość u wielkich realistów. Świadome odchylenie od przeciętnego przebiegu wydarzeń, jaki ukazałby w tym wypadku „mały realizm“, są tu może bardziej dostrzegalne dzięki wspomnianemu ich obnażeniu, ale nie są w istocie swej inne niż na przykład deformacje Stendhala. Jakub Gold jest tragiczny jako typ, przedstawiciel określonej grupy i pokolenia, ale jednocześnie jest tragiczny jako jednostka przez wyjątkowe jak gdyby odwrócenie sytuacji: jako jednostka jest on bowiem nie ofiarą, lecz przestępcą, przynajmniej zewnętrznie, formalnie. Analiza psychologiczna, wniknięcie w intencje czynu, zmieniłyby zapewne nasz pogląd na tę sprawę. Ale wnikanie w intencje, nawet jeśli, jak w tym wypadku, są wyraźne i oczywiste, nie prowadzi do innego uregulowania spraw mających wymiar społeczny. Los jednostki nie zależy od nich, autora zaś interesuje wyłącznie to, co ma rzeczywisty wpływ na los ukazanej nam przez niego jednostki.

Wybuch wojny uwalnia Samsona z więzienia, gdzie odsiaduje on karę, poznając nowych towarzyszy swego losu. O fakcie tym i o dniach spędzonych na barykadzie ulicy Kopińskiej we wrześniu roku 1939 dowiadujemy się z dygresji na początku drugiej części opowiadania. Na dobre spotykamy się w niej z Jakubem Goldem w czwartym roku okupacji, roku ostatecznej likwidacji dzielnicy żydowskiej w Warszawie.

Dzieje tych ostatnich miesięcy życia Jakuba, opowiedziane w drugiej części „Samsona“, mają pod piórem Brandysa największą siłę wymowy. Trudno wyrazić uczucia człowieka skazanego na śmierć tylko z powodu wyglądu własnej twarzy. Mimo to Brandys za pomocą bardzo, zdawałoby się, prostych środków artystycznych oddaje pełną głębię uczuć ludzkich rysując sylwetkę swego ukrywającego się, a następnie walczącego bohatera.

Podobnie jak i w „Mieście niepokonanym“ zapoznaje nas autor z galerią epizodycznych sylwetek z warszawskiej ulicy, z wielką, nieco może idealizującą rzeczywistość, wiarą w człowieka. Jeśli chodzi o człowieka, Brandys jest bowiem zdecydowanym optymistą. Pokazuje on, że proces deprawacji w epoce nienawiści nie sięgnął głęboko. Prosty człowiek sprzedający choinki, dozorca z dzielnicy koło murów — w jednym, przelotnym błysku okażą się ludźmi: tę ich ludzkość Brandys stara się jak gdyby wydobyć z ukrycia jednym rysem, pełnym tkliwości i ciepła.

A równocześnie przy tym wszystkim stwierdzić trzeba jedno. Tragiczne losy Jakuba, mimo ich czysto indywidualnego potraktowania, znów podobnie jak ogólne rysy jego dziejów przedwojennych nie różnią się niczym istotnym od losów ogółu jednostek o tych samych cechach społecznych. Losy te były tragiczne nie z przyczyn, które dałyby się wyjaśnić w kategoriach psychologicznych czy też moralnych, ale z tych, które wyjaśnia dialektyka historii i społecznego rozwoju.

Gdyby cele, jakie zakreślił sobie Brandys, pozostawały w granicach ukazania przeciętnego przebiegu wydarzeń, dopełnienie tragicznego losu Samsona, w tego rodzaju okolicznościach, nie byłoby rzeczą trudną. Ale zakończenie drugiej części „Samsona“ pokazuje nam, że cele te szły dalej. Finał, ku jakiemu toczy się los Jakuba Golda, proces społeczny, jakiemu los ten podlega, ukazuje nam wyraźne perspektywy granic tragicznego konfliktu Samsona.

I podkreślić trzeba raz jeszcze: nie jest to tylko proces wewnętrzny, tylko „dojrzewanie“ bohatera, który od początku do końca zarysowany jest raczej od zewnątrz, jako człowiek, którego myśli i uczucia są w gruncie rzeczy obojętne, który może mieć życie wewnętrzne bogate, ale może mieć i ubogie, i raczej wnioskować należy, że ma je niezbyt skomplikowane. Proces, który zachodzi w losie Samsona stwarzają fakty. Samson, który przez swoją społeczną sytuację jest jednostką samotną, pozbawioną jakiegokolwiek istotnego oparcia o jakąkolwiek grupę ludzką, który jest jednostką pozbawioną osób bliskich, zdaną na działanie sił społecznych wrogich i niszczących — zostaje niepostrzeżenie włączony w przebieg walki, odnajduje przyjaciół i towarzyszy, z razu przypadkiem w murach więziennych, potem też przypadkiem na barykadzie przy ulicy Kopińskiej, wreszcie również — ale czy rzeczywiście? — przypadkiem w mieszkaniu na trzecim piętrze przy ulicy Solec, gdzie mieściła się tajna, konspiracyjna drukarnia i skład broni.

„W życiu człowieka — mówi najbardziej świadomy z bohaterów „Samsona“, Pankrat — nawet przypadki lubią mieć swoje przyczyny“. Drogę do obozu walczących — stwierdza on — utorowała barykada na Kopińskiej. Ale i drogę na ową barykadę utorował nieunikniony rozwój procesów historii, ten sam, który rozstrzygał o losie jednostki zależnie od jej społecznego zaszeregowania, a niezależnie od tego, czy była ona przestępcą czy ofiarą, czy czuła i reagowała tak czy inaczej. Gold mógł być przestępcą i mógł nim nie być, mógł zabić człowieka i siedzieć w więzieniu, i mógł w nim nie siedzieć, jego niezwykły indywidualny los potęgował ekspresję jego postaci jako bohatera opowiadania, ale nie zmieniał nic w jego zasadniczym losie społecznym.

Tak wygląda w schematycznym skrócie ukazanie „socjologicznej konstrukcji ludzkiego losu“.

Samson ginie w walce grupy bojowej, której stał się członkiem. Śmierć zadaje sobie w krytycznej chwili sam, rzucając się z trzeciego piętra na bruk ulicy. Ten zdecydowany akt woli stanowi jeszcze jedno indywidualne „odwrócenie“ w „typowym“ przebiegu wydarzeń, odwrócenie pogłębiające sens owego finału tragicznego, ale zarazem kryjącego w sobie wymowę optymistyczną. Samson nie chce ginąć za to tylko, że jest Żydem. Wyłamuje się spod przekleństwa epoki, odnajdując swoje miejsce w szeregach walczących. „Co mi zależy na tym, jaką mam twarz, bronić naprawdę można tylko tego, co się naprawdę kocha“. Ponure lata, które jego pokrytą czarnym zarostem głowę uczyniły piętnem, odrzuca on i odgradza od siebie w chwili śmierci symbolicznym gestem. Firanka zdarta z okna — umówiony znak bojowy na wypadek niebezpieczeństwa — przesłania mu twarz.

*

Tak wygląda ogólna konstrukcja i przeprowadzenie ogólnego zamierzenia artystycznego w opowiadaniu Brandysa. Dowiódł on w nim, że w utworach swych umie panować nie tylko nad artystycznym rysunkiem szczegółów, ale i nad konsekwentną architekturą całości. Więcej. Dał całość bardziej może nawet wymowną niż szczegóły, jeśli traktować je nie w charakterze lirycznych pięknostek, lecz w charakterze elementów realistycznego kształtowania obrazu rzeczywistości. Wymowa całości bowiem wynika u Brandysa konsekwentnie z racjonalistycznych założeń konstrukcyjnych, wymowa szczegółów zaś związana jest z zagadnieniem nieco odrębnym, jakim są właściwości stylu tego pisarza.

Jest rzeczą oczywistą i powszechnie wiadomą, że żaden styl odtworzenia rzeczywistości nie jest jej kopiowaniem. Nawet tam, gdzie, jak na przykład w dialogach, polega na przytaczaniu własnych słów postaci. Każde bowiem takie przytoczenie jest i musi być zawsze u pisarza jakąś przeróbką, skrótem, eliminacją słów niepotrzebnych i nieistotnych, akcentacją istotnych i ważnych.

Ale przeróbek tych i selekcji różni pisarze dokonywują w sposób różny. Pomińmy tu prozaików, którzy jak Dygat czy Andrzejewski operują dialogiem bardzo swobodnie i obficie, stwarzając w ten sposób wrażenie „naturalności“ i łatwości, jakiego nigdy nie osiąga pisarz-intelektualista, stosujący dialog oszczędnie i rzadko. Zestawmy jednak styl Brandysa ze stylem równie jak on oszczędnego Rudnickiego.

Każdy zgodzi się, że ogólnie biorąc styl Rudnickiego jest niespokojny i niezwykły, a styl Brandysa staranny i uładzony. Niejeden przytem powie, że styl Rudnickiego jest bardziej prawdziwy choć czasem dziwaczny, a styl Brandysa nieco sztuczny choć zawsze bardzo poprawny. Obu pisarzy cechuje pełna uczuciowość w stosunku do tematu, u obydwu uczuciowość ta wiąże się z refleksyjnością. Jak zatem zdefiniować różnice?

Selekcja Rudnickiego zdaje się polegać na tym, że bierze on kawałki potocznego języka, swojego i swych postaci, bynajmniej nie wszystkie, zawsze tylko wybrane, ale zawsze ze starannym zachowaniem a nawet wydobyciem ich oryginalności i dosłowności, ich niegramatycznego często i nieskładnego, bezpośredniego brzmienia.

Brandys inaczej: świadomie i celowo wkłada w usta swych postaci słowa, których treść odpowiada temu, co mogłyby i musiały w danej chwili powiedzieć, ale czego w tej formie prawdopodobnie nie powiedziałyby nigdy. Prości, zwyczajni ludzie mówią i myślą tu skończonymi, zamkniętymi frazami, niekiedy wręcz aforyzmami, pełnymi zresztą niezwykłej prostoty i przejmującej czasem wymowy. „Zawsze się kogoś ma na świecie — powiedziała kobieta — tylko nie zawsze człowiek o tym wie“. „Normy społeczne ustanawiają zawsze ludzie o większych dochodach niż ci, dla których są przeznaczone: uczciwość człowieka zależy od wysokości jego zarobków“ — mówi sceptyczny pesymista, kasjer Malina. W o wiele większym stopniu ujawnia się ów aforystyczny sposób ujmowania rzeczywistości w komentarzu autorskim Brandysa.

Adam Ważyk w swej słusznej i wnikliwej recenzji z „Drewnianego konia“ zwrócił niegdyś uwagę na właściwą Brandysowi skłonność do hiperboli, do metafory realistycznej, która w „Mieście niepokonanym“ wyraziła się z kolei obfitymi partiami retorycznymi, zastępującymi właściwą narrację. Nie chcę bynajmniej powiedzieć, że hiperbola „Drewnianego konia“, retoryka „Miasta niepokonanego“ i konstruktywizm „Samsona“ — to gama jednych i tych samych środków pisarskich. Każda książka Brandysa to wielki skok, poważny, świadomy etap w jego działalności twórczej, to, jeśli chodzi o „Samsona“, świadome, teoretyczne założenie o celach wręcz odwrotnych niż te, które stawiał sobie Brandys jako autor „Drewnianego konia“, i o zupełnie innych proporcjach artystycznych niż te, które zrodziły książkę o Warszawie. Jednakże pewien rys wspólny, charakterystyczny dla pisarskiej indywidualności Brandysa we wszystkich trzech książkach u niego istnieje, a określiłbym go jako pewien teatralizm, pewną uroczystość gestu, w jaką Brandys oprawia najprostsze nawet wydarzenia, które opisuje, rzucając na nie jak gdyby snop skupionego światła kinkietów, a resztę pogrążając w cieniu.

Behawiorystyczna metoda zastosowana przez Brandysa w „Samsonie“ kazała określić mu owe rysy indywidualne nie przez reprodukcję toku myśli, ale przez wydarzenia, przez zachowanie się bohaterów. W historii Samsona zachodzą trzy wypadki znamienne, indywidualizujące jego postać: błahy w zasadzie lecz poważny w skutkach wypadek upicia się i zanieczyszczenie grobu Nieznanego Żołnierza w rodzinnym mieście, poważny wypadek zabójstwa na uniwersytecie i — śmierć, ściślej, wybór rodzaju śmierci, poprzedzonej wyborem rodzaju życia, wyborem walki.

Zwłaszcza dwa pierwsze z owych wydarzeń wymagają szczególnego uprawdopodobnienia. Czy wydarzenia takie u dobrego, spokojnego skądinąd Jakuba mogły i powinny były się zdarzyć? Niewątpliwie mamy tu i za pierwszym i za drugim razem do czynienia z wypadkami skrajnymi. Ale i za pierwszym i za drugim razem skrajność tę uprawdopodabnia atmosfera miejsca i czasu, a nadto za pierwszym — bezbronna, niepodejrzliwa ufność i młodzieńczy brak doświadczenia, za drugim najgorszy doradca samotności — strach. „Strach pcha człowieka w przeciwną stronę niż rozum“ — mówi, jedyny sprawiedliwy na procesie Jakuba, stary woźny z uniwersytetu. „Człowiek zawsze się boi, kiedy jest sam“. „Kiedy człowiek jest sam — trzeba mu pomóc“.

Rola epizodycznych postaci w „Samsonie“ nie jest rolą samodzielną. Pełnią one funkcję zupełnie określoną przez konstrukcję opowiadania. Działacz polityczny i bojowiec Pankrat zjawia się wraz ze swym towarzyszem Fiałką jakby na zawołanie w drugiej części opowiadania. Szpicel i konfident Kwiecień staje się postacią niemal symboliczną, wyrastając na drodze Jakuba w chwili jego pierwszej kolizji z porządkiem prawnym i następnie na ulicy w Warszawie podczas okupacji. Postaci takie jak kasjer Malina ze swoją filozofią, profesor Bałturyn, czy wspomniany wyżej woźny uniwersytecki, wreszcie doskonała para — Gienio Apfel i jego „Lucynka“ potrzebne są dla ukazania pełnego obrazu dziejów Jakuba, znów nie jako obrazu dziejów życia jednostki, które musiało być znacznie wielostronniejsze, ale jako dziejów takiej artystycznej koncepcji swego życia, jakiej ukazanie leżało u podstawy założeń twórczych Brandysa.

Po kapryśnym, deformacyjnym subiektywizmie „Drewnianego konia“ i lirycznej retoryce opowieści o Warszawie, „Samson“ jest pierwszym utworem całkowicie zobiektywizowanym, pierwszym całkowitym przełamaniem pierwiastka autobiografii, co w rozwoju indywidualności prozaika stanowi etap niemałej wagi.

Etap to tym ważniejszy, że „Samson“ tworzy pierwszą część zapowiedzianej większej całości. I choć dopiero po ukazaniu się części dalszych będziemy w stanie ocenić w pełni całokształt zamierzeń i osiągnięć, jakie postawił sobie autor, to jednak już ukazany nam obecnie fragment możemy uznać bez wahań za zapowiedź pomyślną i ambitną.

Ryszard Matuszewski

ADOLF SOWIŃSKI

OJCIEC

MNIEJ WIĘCEJ od dwunastego roku życia Gabriel Knez wychowywał się poza domem. W sporej osadzie fabrycznej, gdzie osiedlili się jego rodzice, długo nie było szkoły średniej, przeto chłopca umieszczono w mieście wojewódzkim, odległym o godzinę drogi koleją. Z biegiem lat osada, która jako jeden z nowopowstałych ośrodków przemysłu odlewniczego przeżywała okres gwałtownej prosperity, otrzymała pełne gimnazjum, ale pomimo to Gabriel nie powrócił do rodzinnego domu. Uznano, że stare gimnazjum w mieście wojewódzkim stoi na wyższym poziomie, a poza tym nie należy chłopcu zmieniać nauczycieli, skoro jest na to, aby dokończył szkołę tam, gdzie ją rozpoczął. Istniały jednakże inne jeszcze przyczyny, dla których trzymano chłopca z dala od domu. Gabriel długo nie znał istotnego stanu rzeczy.

Pozostawiony samemu sobie uczył się średnio. Gdzieś tam w jednej i drugiej klasie odsiedział nawet swoje dwa lata, toteż gdy dostał maturę, był już człowiekiem więcej niż pełnoletnim. Nie zastanawiał się nad różnorodnością dróg życiowych, bo wyboru dokonał już dawno. Po prostu wrócił po wakacjach na dawne miejsce, gdyż diecezjalne seminarium duchowne, do którego zdecydował się wstąpić, łączyło się mur w mur ze starym gimnazjum.

Przeżył szczęśliwie wśród upojeń religijnych pierwszy rok nowej nauki. Miał nieporównaną słodycz charakteru i ducha samotnej pokory, toteż nie wyraził zdziwienia, gdy z końcem pierwszego roku jemu jednemu nie pozwolono spędzić wakacji w domu, od którego zresztą odwykł na dobre. Matka nie żyła już od trzech lat, a z ojcem niewiele mieli sobie nawzajem do powiedzenia. Spędził więc letnie miesiące pod czujnym okiem starszego proboszcza w odosobnionej parafii, gdzie niskie wzgórza zachmurzały się sosnami, a piasek zasypywał chłopom pola orne. Czytywał listy św. Pawła i przygotowywał się do egzaminu z teologii moralnej. Uskrzydlała go miłość do ludzi, marzył więc o swym własnym proboszczowaniu wśród ascezy i służby wiernym.

Pod koniec drugiego roku miał długą i przykrą rozmowę z rektorem seminarium. Stary ksiądz, promienny i dobrotliwy, ale w rzeczach wiary i kapłaństwa drapieżny jak sęp, wtajemniczył go w sprawy ledwie przeczuwane, chociaż dotyczyły własnego gniazda rodzinnego. Nie nazywał zbytnio rzeczy po imieniu, ale dał Gabrielowi niedwuznacznie do zrozumienia, że jego ojciec źle się prowadzi, a to może stać się poważną przeszkodą w karierze duchownej młodego kleryka. Powiedział nawet, że wzywał do siebie Kneza seniora, aby mu wytłumaczyć, że swym postępowaniem może zachwiać los syna, ale otrzymał na to obelżywy list, uzasadniający na pięciu stronach maszynopisu tezę, że ksiądz rektor winien pilnować własnego nosa i nie obwiniać synów za grzechy ojców. A zresztą z tymi grzechami sprawa nie wygląda znowu tak prosto i można by się grubo zastanawiać, kto bardziej grzeszy: on, czy ksiądz rektor.

W taki sposób ojciec Gabriela odmówił przyjazdu, a nawet uprzedzał księdza rektora, aby się u niego nie pokazywał, bo mógłby się spotkać z grubą nieprzyjemnością.

Od tego czasu życie Gabriela w diecezjalnym seminarium duchownym stawało się coraz trudniejsze. Napotykał na wymagania tak wielkie, że nie mogła im podołać nawet jego wygórowana ambicja pokory. Parę razy próbował udowadniać swoje racje, nie mniejsze niż innych alumnów raz pokazał zęby, wobec czego wstrzymano mu niższe święcenia. Z końcem trzeciego roku wybuchł w domu rodzinnym skandal tak wielki, że łącznie z własnymi

przewinieniami Gabriela stał się powodem ostatecznego rozbratu. Tego, który marzył o apostolstwie wśród piasków ubogich parafii, wydalono z diecezjalnego seminarium duchownego.

Były żniwa, gdy zjawił się w domu po bezskutecznym kołataniu do innych seminariów, a nawet do klasztorów. Nie interesując się ojcem i jego amorami wałęsał się po okolicy, głęboko przejęty swą własną katastrofą. Siadywał pod krzyżami i figurami przy drogach, modlił się z podniesionymi rękami wśród brzóz na wiejskich cmentarzykach, leżał krzyżem w kruchtach kościołów, słowem stosował wszystkie poznane w dotychczasowym życiu środki zaradcze na nieszczęście. Nadawał im jedynie indywidualną barwę swej marzycielskiej natury. Gdy wychodził na piaszczyste wzgórza, gdzie jałowiec pachniał w upale jak piołun u świętego Pawła, wędrującego w pobliżu pustynnych szlaków Ksenofonta, odzywało się w nim ostre pragnienie pustelnictwa. Z naiwnością człowieka niepraktycznego obmyślał sposoby założenia nowożytnego eremu gdzieś na pograniczu jodłowych lasów, których strzegły czujne obchody etatowych leśników.

Koszono jęczmień, ostatnie ze zbóż, gdy Gabriel Knez począł jako tako zauważać otaczający go świat realnych rzeczy i ludzi. Nasamprzód narzuciła mu się sytuacja domowa, bo nie znalazł w niej miejsca dla siebie. Ojciec uwiódł tym razem z wielkim hukiem i szumem dwudziestoześcioletnią żonę jednego z majstrów fabrycznych, matkę dwojga dzieci. Było to wydarzenie pociągające za sobą poważne konsekwencje, gdyż uwiedziona kategorycznie domagała się legalizacji nowego związku. Knez senior nie był temu w zasadzie przeciwny,uwiedziona bowiem potrafiła ze swej strony dostatecznie usidlać rutynowanego bałagułę, w którym zbliżająca się pięćdziesiątka obudziła tęsknoty za pożyciem domowym i szacunkiem u ludzi. Jednakże legalizacja natrafiała na poważne trudności. Dla osady minął okres prosperity. W przemyśle miejscowym nastawał coraz większy zastój, który fatalnie odbijał się na finansach Kneza starszego, żyjącego od pewnego czasu już tylko z dywidendy od niewielu akcji, jakie posiadał w tutejszym przedsiębiorstwie. Wiele lat bujnego życia ogołociło piękną willę z najcenniejszych przedmiotów. Bilans domu był ujemny. Tymczasem rozwód, co do którego zadziorny majster piętrzył z umysłu trudności, wymagał dużych sum, a ponadto nowa pani Knezowa nie chciała rezygnować z żadnych rozkoszy społecznego awansu i umiała postawić na swoim. W tych warunkach Gabriel nie mógł liczyć na żadną pomoc z domu, gdy począł rozmyślać nad studiami uniwersyteckimi. W ciągu trzech lat seminaryjnych ojciec przywykł, że syn nie kosztuje go prawie nic, zgorszył się więc na samą myśl, że trzeba by wykładać poważniejszą sumę miesięczną na kształcenie niedoszłego kapłana. Gabriel ma lat dwadzieścia pięć, powiedział. On w jego wieku był już zupełnie samodzielny. A zresztą nie trzeba było zawracać sobie głowy z tymi księżulami. „Każdy musi odpokutować swój irracjonalizm" — zakończył, gdyż miał ambicję układania aforyzmów.

Gabriel pokutował nadmiernie. Na niewielu ulicach osady widywał często dawnych kolegów i rówieśników, z których jedni gdzieś kończyli studia, inni gdzieś tam pracowali, zdążywszy pozakładać rodziny, a jeszcze inni ukazywali się w pełnej glorii oficerskich mundurów. Poczuł się beznadziejnie zdystansowany. Przechodził niekiedy brzydkim jak rząd wypalonych wagonów wiaduktem ponad torami kolejowymi i aleją poczerniałych od pyłu węglowego topól udawał się na dworzec, gdzie wiały dymy olbrzymiej parowozowni i odchodziły pociągi, uwożąc ze sobą przejmujące do głębi możliwości. Poznał nienawiść, smutne bliźnię nieszczęścia. Nienawidził ojca za jego wspaniałą urodę posiwiałego efeba, za głębokie osadzenie się w życiu i za lekkomyślność, która mu zawsze wychodziła na dobre. Dopiero teraz począł go obwiniać o przedwczesną śmierć matki. Ponieważ długo i z zupełnym oddaniem kształcił się na irracjonalizmie, przeto wytworzył w sobie prymitywność uczuciową owych natur stworzonych do dramatu, dla których nagła i bolesna odmiana losu nie jest źródłem doświadczeń, ale za przykładem perypetii w starożytnych tragediach powoduje przerzucenie się od jednej krańcowości do drugiej: od pokory do pychy, od miłości do zemsty. Gabriel postanowił zemścić się na ojcu.

Czytując kroniki kryminalne w gazetach, gdzie niejednokrotnie snują swą krwawą historię ci sami ludzie, którzy niegdyś stworzyli dzieje rodu Atrydów rozmyślał nad zemstą patetyczną i okrutną, ale nie mógł się zdecydować na wybór środka. Zbrodnia jest łatwa jedynie dla ludzi bez wyobraźni, to też albumy przestępców słusznie ukazują nam wśród zbrodniarzy typowe twarze kretynów. Gabriel i tu musiał odpokutować swój irracjonalizm, który rozpostarł wokoło niego piekło obrazowe, napełnione czynami strąconych aniołów. Kategorie moralne były dlań poglądowym teatrem grzechu, gdzie kłębiły się powołane do życia i potwornie wykrzywione maszkary kościelne pod strażą młodzieńców z liliami. Nie, Gabriel nie był zdolny do zbrodni. Miał na to za dużo wyobraźni i zamierzona zbrodnia pozostała u niego w sferze wyobraźni. Wybrał natomiast zemstę, która wydała mu się nie mniej okrutną i wyrafinowaną, chociaż nie była zbrodniczą.

W tym czasie ojciec wyjechał, by nawiązać pogubione kontakty i wpływami dawnych kompanów popchnąć sprawę rozwodową. Wtedy Gabriel z naiwną dyplomacją, która wydawała mu się szczytem przebiegłości, począł dotrzymywać towarzystwa swej przyszłej macosze i nie spotkał się z niechęcią. Górował nad ojcem urokiem tragicznej młodości, chociaż nie dorównywał mu urodą. W ciągu kilku dni doszedł z Antoniną do najbłahszych pod słońcem intymności, które już zaczął poczytywać sobie za zwycięstwo. Gdy pewnego razu przystanęli na wiadukcie ponad torami i Antonina — coś mówiąc — do-

STANISŁA W NADZIN

NAR

SALKA — zbyt może szumnie nazwana „salą konferencyjną", a będąca w rzeczywistości po prostu największym pomieszczeniem w całym budynku,—nie mogła pomieścić wszystkich wezwanych na naradę. Urządzono się więc w ten sposób, że otwarto na oścież drzwi do wszystkich sąsiednich pokojów i tam również ustawiono krzesła. Prymitywne głośniczki radiowe, zawieszone na ścianach, po jednym w każdym pokoju, miały wzmocnić głos mówców.

Huczko, mimo, że przyszedł na dobre pół godziny przed wyznaczonym terminem, zastał już główną salkę wypełnioną ludźmi. Zajął wolne jeszcze miejsce w jednym z bocznych pokojów. Nie widział stąd stołu prezydialnego, ani nie słyszał prowadzonych teraz przy nim głośnych rozmów. Sąsiad pocieszył go jednak, że kiedy włączą głośniki, przemówienia będą słyszeć dobrze. Jak gdyby na potwierdzenie tych słów, z wiszącego nad ich głowami głośniczka wydobył się niejasny dźwięk, podobny do szelestu pergaminu na wietrze; potem monotonny głos odliczył: „jeden, dwa, trzy..." — do dziesięciu; sprawdzano mikrofon.

Ludzi wciąż przybywało. W pokoju, gdzie siedział Huczko, także zabrakło już wolnych miejsc. Musiało ich też nie starczać w innych bocznych pokojach, bo nowo przybywający, wszedłszy tam, cofali się i zajmowali miejsca stojące, pod ścianami salki. Zapobiegliwsi przynosili sobie dodatkowe krzesła z innych pięter, ustawiali je w przejściach, narażając się na niecierpliwe uwagi jeszcze bardziej spóźnionych, którym utrudniali przejście. Niektórzy siadali na parapetach okien.

Huczko spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina, na którą przewidziany był początek narady. Obok niego przeszedł zaaferowany kierownik Wydziału Przemysłowego, niosąc pod pachą tekturową teczkę, wypchaną papierami, a w drugiej ręce — kałamarz, pióro i parę ołówków.

No i co, towarzyszu? Zaraz zaczynamy?... — rzucił w jego stronę sąsiad Huczki, ten sam, który przedtem zapewniał go o sprawności głośników.

Zagadnięty odwrócił się w przejściu, kiwnął mu na przywitanie głową, ale na pytanie nie odpowiedział.

Wśród obecnych przeważali młodzi ludzie, o bardzo zresztą rozmaitym wyglądzie, wskazującym na różnicę pochodzenia społecznego, przeżyć i wykonywanego zawodu. Ale było także dość dużo starszych mężczyzn, wyglądających na majstrów fabrycznych lub wysłużonych, przebranych po cywilnemu, podoficerów. Kobiety, o których możnaby pomyśleć, że są nauczycielkami lub drobnymi urzędniczkami w prywatnych biurach, siadały przeważnie niewielkimi grupkami i prowadziły pomiędzy sobą przyciszone rozmowy Huczko zwrócił uwagę na biedną na ogół odzież zebranych; skojarzyło mu się to z widokiem zniszczonej Warszawy i pomyślał: „Mało u którego z Warszawiaków coś ocalało..."

W kwadrans po wyznaczonym terminie ktoś od strony stołu prezydialnego powiedział bardzo głośno: „Towarzysze, proszę zajmować miejsca!" i natychmiast z różnych stron podchwycono wezwanie, powtarzając je i wzywając się nawzajem do przerwania rozmów. Paru ludzi wstało z dalszych krzeseł bocznego pokoju i przeszło do głównej salki. Natychmiast opróżnione przez nich miejsca zajęli inni.

Głośniczek znowu wydał dźwięk podobny do szelestu pergaminu na wietrze i zaraz potem wyraźnie, choć trochę głucho, popłynęły z niego słowa:

— Otwieram pierwszą krajową naradę pracowników przemysłu, członków partii...

Sąsiad Huczki, nie wstając ze swego miejsca, wyciągnął szyję i chociaż jasne było, że niczego nie mógł zobaczyć, powiedział mu na ucho tonem, jakby powierzał tajemnicę:

— Towarzysz Długosz, kierownik Wydziału Przemysłowego.

— Dobrze, — odpowiedział Huczko i zrobił ruch, jakby odmachiwał się od uprzykrzonej muchy.

Sąsiad spojrzał na niego, widocznie urażony brakiem zainteresowania dla swojej informacji. Potem znowu wyciągnął szyję i cały zamienił się w słuch.

Huczko słuchał także, ale brzęczenie głośniczka przeszkadzało mu skupić uwagę. Raz po raz spoglądał na swego sąsiada, jakby z wyrzutem: „A mówiliście, że będzie słychać dobrze". W pewnej chwili głośniczek zagwizdał głośno i przeciągle.

— Sprzężenie, — z nagłym ożywieniem powiedział sąsiad; ale spojrzawszy na zniecierpliwioną minę Huczki, zamilkł natychmiast.

Głośniczek umilkł także i przez kilka minut w ogóle nie słyszeli niczego.

Po zagajeniu narady przez kierownika Wydziału Przemysłowego, zabrał głos towarzysz Minister. Towarzysz Długosz zapowiedział, że „zbilansuje on dotychczasowe wyniki prac przy odbudowie naszego zniszczonego przez wojnę i okupację przemysłu", oraz „wytknie jego drogi rozwojowe na przyszłość, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaka w odbudowie tej przypada w udziale naszej partii". Wbrew jednak tak niejasno sformułowanej i nie całkiem zrozumiałej zapowiedzi, towarzysz Minister mówił niespodziewanie prosto. Opowiedział o trudnościach, jakie napotykał nie tyle przemysł jako całość, ile poszczególne fabryki i warsztaty pracy w pierwszym okresie po wyzwoleniu. Porównywał ówczesny stan rzeczy z obecnymi warunkami, dalekimi jeszcze od normalnych, ale pozwalającymi już — jego zdaniem — zdać sobie sprawę z własnych możliwości, a — co najważniejsze — przystąpić do planowania.

Huczkę, tak samo zresztą, jak i ogromną większość zebranych, przemówienie towarzysza Ministra zainteresowało w najwyższym stopniu. Na salce i w przyległych pokojach zrobiło się cicho i duszno. Kiedy ktoś wstał z miejsca, żeby uchylić nieco okno, syknięto na niego ze złością. Głośniczki, szczęśliwie działały sprawnie.

Mówca przytaczał przykłady ofiarnej pracy robotników na poszczególnych fabrykach. Opowiedział, jak w rekordowo krótkim czasie odbudowano jedną z podwarszawskich elektrowni, jak uruchomiono zatopioną przez Niemców kopalnię na Śląsku. Huczko słuchał, starając się nie uronić ani jednego słowa; poprawiał się przytem niespokojnie na krześle i raz po raz spoglądał na wiszący nad jego głową głośniczek. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że czeka, aż padnie, jako jeden z przykładów, nazwa jego fabryki...

Towarzysz Minister nie wymienił jednak Sanockiej fabryki wagonów. Natomiast przemówienie swoje zakończył apelem o dalsze podniesienie wydajności pracy...

I SYN*)

ilustrował K. Sosnowski

tknęła mu ręką ramienia, poczuł się wielki i silny, jak gdyby wziął pod swoje rozkazy ten świat, w którym zachowywał się dotąd jak cywil w koszarach. Brzydkie konstrukcje żelazne o niewidocznych stąd punktach oparcia unosiły go poprzez dymy olbrzymiej parowozowni niby wypalony wrak przed ostateczną katastrofą. Tak mówił do Antoniny, gdy chodził z nią tędy po sprawunki, ale już wierzył, że katastrofa nie jest nieunikniona. Tymczasem ludzie poczęli przebąkiwać o nowym skandalu w osławionym domu Knezów.

Ten dom stał nad rzeką opodal cegielni, która ze swymi szeroko rozsiadłymi okapami wyglądała na kościół zakopiański. Za rzeką pachniały moczary, które właśnie skoszono po raz drugi, a za moczarami trwały wypukłe lasy, przypominające w oddaleniu barwę dojrzałych i nieotartych z omszałości śliwek. Dom patrzył frontem z dwiema kolumnami na ten horyzont, który przestał kusić Gabriela marzeniem o pustelnictwie. W mniemaniu, że prowadzi mistrzowską grę swej wspaniałej zemsty, wstawał o świcie i zaglądał przez krzewy do okna śpiącej Antoniny, nie ważąc się jej obudzić. Nastały już późnosierpniowe chłody poranne, więc okno było zamknięte, ukazując patrzącemu zaledwie niebieską plamę dywanika przy łóżku i góry rozesłanej pościeli. Nierzadko Gabriel nie mógł się upewnić, czy Antonina rzeczywiście śpi na zwykłym miejscu, bo cień, który brał za pasmo włosów, okazywał przy dłuższym patrzeniu w niejasny półmrok, podobieństwo do cienia załamanych poduszek.

W niecierpliwości oczekiwania na prawdziwy początek dnia schodził ku rzece i wałęsał się pomiędzy zabudowaniami cegielni. Zaczynały się odzywać pierwsze syreny fabryczne, dudnił pociąg na moście, zapach złożonego w kopki potrawiu rozpraszał senność. Jednego z takich poranków Gabriel zobaczył Antoninę nad rzeką, chociaż był przekonany, że widział pasmo jej włosów na rozburzonej pościeli. Najwyraźniej skądś wracała, a tylko nadawała sobie pozory przechadzki romantycznej. Niepytana zresztą wyznała, że wraca od dzieci. „Powinny jak najszybciej znaleźć się t a m" — oświadczyła, pokazując oczami dom Knezów. Zgodziła się pójść na spacer. Była ubrana w krótki kubraczek futrzany, ale na nogach miała tylko ażurowe chodaczki bez pończoch, podobna w tym do wiejskich dziewczyn, które ciepło

ubierają tułów, ale śmiało brodzą bosymi stopami po zimnej rosie. Gdy doszli do rzeki, Antonina zdjęła drewniane chodaczki, rzuciła je z nagłym śmiechem Gabrielowi na ręce i bez chwili wahania przebiegła na drugą stronę niewielkiej wody. Stamtąd poczęła ciskać ku niemu drobiazgami. W pewnej chwili Gabriel pochwycił grubą bransoletkę z malowanego na niebiesko drewna i zadrżał, patrząc na Antoninę, która zatrzymała się zdyszana, wyczerpawszy wszystkie zapasy. Stanęły mu przed oczyma niebezpieczne dla młodych kapłanów obrazy miłosne z „Pieśni nad pieśniami", winnice Galaad i dwoje bliźniąt sarnich, które wyszły z kąpieli, a niepłodnego nie masz między nimi... „Pociągnij mnie!" — mówiła Sulamitka do Salomona.

W ten sposób poddał się drugiemu w swym życiu irracjonalizmowi. Przestał żywić obawy, aby i ten jego rodzaj miał odpokutować. Oszołomiony istotniejszymi zbliżeniami, które potem nastąpiły, usnął przy ciepłej ścianie cegielni, otulony futrzanym kubraczkiem Antoniny i z jej niebieską bransoletką w ręku. Tak znalazł go ojciec, zdążający ku domowi od stacji, gdy słońce podniosło się ponad dymy parowozowni. Rozegrała się wtedy między nimi scena ostateczna. Starszy Knez nie wpuścił nawet syna do domu. Rozprawił się z nim przed domem, wyrzucając na żwir podjazdu ubogie rzeczy sekularyzowanego kleryka. Krzyczał i był niesprawiedliwy. W ferworze doszedł nawet do wniosku, że rektor nie był wcale taki głupi, skoro wylał Gabriela na czas z seminarium, zanim ta trusia nie okazała się spryciarzem pod pozorami cnót irracjonalnych. „Irracjonalny oszust" — powtarzał swym bohaterskim tenorem. Wśród wyzwisk wołał, że Gabrielowi nie należy się po matce nic, ale on z własnej woli wspaniałomyślnie daje mu pieniądze, aby co rychlej zabierał się z miasta. Antonina istniała gdzieś w głębi domu niewidzialna, głucha i niema.

Wiedziony wspólnymi rachubami miłości i zemsty, Gabriel przyjął pieniądze. To umożliwiało mu dalsze przebywanie w osadzie i dawało swobodę ruchów. Zamieszkał w pokojach umeblowanych, ponieważ były położone centralnie i mógł nawet z okna swego przygodnego koczowiska czatować na Antoninę. Kupił wielką lornetę polową i godzinami wśród zmiennych nadziei obserwował kobiety, co chwila zasłaniane przez kłęby dymu na wiadukcie. Złudzony jakąś barwą sukni lub podobieństwem torby na sprawunki biegł na oślep ku wiaduktowi, już podówczas zastanawiając ludzi swym zachowaniem. Rozczarowany, posyłał dobrze opłaconych chłopców z listami, które pozostawały bez odpowiedzi, chociaż ten i ów utrzymywał, że oddał list do własnych rąk Antoniny. Na inne czyny Gabriel nie mógł się zdecydować, chociaż wierzył głęboko, że od widzenia się z Antoniną zawisło wszystko i chociaż był pewny, że po kilku minutach rozmowy przekona ją do wspólnej ucieczki. Czyny są dla ludzi, którzy nigdy nie kwestionują samych siebie i granic własnych pragnień nigdy nie uznają za ostateczne, jak gdyby byli narzędziem rozpętanych sił, które najłatwiej, nazwać instynktami. Instynkty Gabriela były w ciągu trzech lat konsekwentnie niszczone przez ascezę i groźne pojęcia o grzechu, odżyły jednakże natychmiast, gdy przestał działać ucisk. Jedynie wiara w nie, ów teoretyczny motyw życiowego wyboru, pozostawała jeszcze w tyle. Dlatego Gabriel nie był pewny swych praw do szczęścia i nie umiał o nie walczyć.

Ostatnią noc przed katastrofą spędził wśród krzewów koło cegielni i rzeczywiście doczekał się Antoniny. O szóstej rano ukazała się przed domem już z jakiegoś powodu kompletnie ubrana i poważna jak przed wyjazdem lub doniosłą uroczystością. Nakazała mu ręką milczenie i zdecydowała się przejść w krąg ciepła idącego od murów. Była duża i macierzyńska, gdy szła z góry. Miała nieomylny spokój gestów, dostosowanych ściśle do sytuacji. Zatrzymali się w tym samym miejscu, gdzie Gabriel usnął podczas pierwszych uniesień. Jesienna mgła burzyła się w cieple, rozstępując się gdzie niegdzie, aby ukazać bladofioletowe i palczaste kwiaty, zwane tu zimolągami. Poza okapami cegielni przechodził z obu stron chłód, który łączył się z widokiem górzystego horyzontu pod niskim i ukrytym w chmurach słońcem. Szczęk pracy w niedalekiej parowozowni był monotonny jak mały wodospad.

Gabriel krótko i porywczo zażądał, aby Antonina nie powracając już ani na chwilę do domu poszła z nim w świat na dolę i niedolę. Otarła policzki zwilgotniałe od mgły i dopiero po pewnym czasie roześmiała się spokojnie i serdecznie. Poinformowała go, że właśnie dzięki niemu dzieci są już z nią razem, a ślub — wszystko jedno jaki — odbędzie się za kilka dni. Ojciec stchórzył na dobre przed obliczem młodej konkurencji i zgodził się na więcej, niż potrzeba, a nawet począł sam z niesłychaną gorliwością chodzić koło sprawy, przezwyciężając wrodzony mu wstręt do wszelkiego wysiłku. Teraz trzeba go jeszcze napędzić tylko do pracy, aby odzyskał swe dawne stanowisko w hierarchii służbowej i finansach. Musi swoje odrobić, zanim zostawi ją samą, bo miał już dwa ataki serca, a to w pięćdziesiątym roku życia nie należy do żartów. Był już najwyższy czas, więc dobrze się stało, że swymi zapędami ku niej Gabriel pomógł jej w opanowaniu urodzonego rozpustnika. „Zresztą całą wasza rodzina jest taka — powiedziała z powagą. — Nie żal mi żadnego z was". A po chwili dorzuciła, nadając sobie ton mądrości tutejszych przekupek: „Za dużo wam się zachciewa. Wciąż tylko i jeden i drugi goni za własnymi przyjemnościami, a dla niepoznaki zaczyna pleść o gwiazdach i kwiatuszkach, jak gdyby nie miał koło siebie drugiego człowieka, któremu trzeba stworzyć byt. No to m...e piękne za nadobne. Bo czy to temu drugiemu człowiekowi już nic się nie należy? Ja się pytam?"

Gabriel nie spojrzał na nią ani razu. Gdy szedł drogą ku osadzie, odczuwał przede wszystkim, że przeżył coś niesłychanie brudnego i przyziemnego bez względu na rzeczywiste racje Antoniny. Czy ją kochał nadal i bolał nad jej utratą? To pytanie nie postało mu nawet w głowie. Czuł tylko na sobie ciężar klęski moralnej, gdyż ponownie zawiodły go wartości, z których zbudował sobie świat obok świata, świat nie dający mu tak samo pojęcia o rzeczywistości, jak teologia moralna nie dała mu pojęcia o rygorach selekcji kastowej, nieubłaganie zastosowanych przez promiennego i dobrotliwego rektora.

Po południu ukradł teczkę z pieniędzmi przejezdnemu sekwestratorowi, który korzystając z rozpogodzonego dnia jesiennego zażywał wczasu nad rzeką. Wieczorem złapano go na gorącym uczynku, gdy wrzucał skradzione pieniądze do skrzynek pocztowych niby do najbezpieczniejszych pod słońcem szkatułek. Były to pierwsze objawy jego niepoczytalności.

Adolf Sowiński

*) Nowela odznaczona IV nagrodą na konkursie literackim Polskiego Radia.

ADA

I wtedy to Huczko podniósł się raptownie ze swego miejsca i zdecydowanym krokiem skierował się w stronę prezydialnego stołu. Sąsiad odwrócił się i już chciał mu ostro zwrócić uwagę, żeby nie przeszkadzał, ale zobaczył, że także inni wstają z krzeseł, więc dał spokój. Zarządzono przerwę w obradach.

Huczko przepychał się przez zastawione dodatkowymi krzesłami przejście, dosyć bezwzględnie roztrącając innych; jak gdyby bardzo się śpieszył. Ale doszedłszy do stołu prezydialnego, ochłonął. Towarzysz Długosz zapisywał nazwiska, chcących przemawiać w dyskusji. Huczko odczekał spokojnie, aż Długosz sam się do niego zwróci:

— Wy, towarzyszu, też się chcecie zapisać do głosu?

— Tak, Huczko Antoni, — powiedział.

— Skąd?

— Z Sanockiej fabryki wagonów.

— A, bardzo proszę... — powiedział Długosz zapisując.

„Teraz to — bardzo proszę... — pomyślał ze złością Huczko. — Ale wymienić naszych osiągnięć, postawić za przykład innym — rozumu nie starczyło.." Zrezygnował z papierosa i w ponurym nastroju, jaki go opanował nagle, wrócił na swoje miejsce w bocznym pokoju.

Zastanowił się, o czym ma mówić. Przypomniał sobie, jakie polecenia otrzymał od swoich towarzyszy — robotników fabrycznych, od dyrektora fabryki, rady załogowej, komórki partyjnej — jadąc na naradę. Żądano od niego niemało: spodziewano się, że załatwi w Warszawie odrazu wszystko; rozwiąże wynikłe zagadnienia, usunie przeszkody, przywiezie gotowe odpowiedzi na niezliczone, trapiące ich stale pytania i wątpliwości. Ale tam, w Sanoku, on sam także wyobrażał sobie inaczej przebieg narady miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać z ludźmi decydującymi o tych sprawach — sam na sam. Załatwić, co się da — od ręki, a co do reszty — przepytać się, jaką drogą mają się dobijać swego. Okazało się jednak, że ogólnokrajowa narada — to liczne i bardzo oficjalne zebranie, na którym nie ma możności rozstrzygać poszczególnych spraw. Zrezygnował więc z tego, ale postanowił zato powiedzieć zebranym tu ludziom o swojej fabryce. „Niech się dowiedzą... — myślał, nie zdając sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego, o czym chce im powiedzieć. — I niech moi towarzysze na fabryce też nie myślą, że darmo do Warszawy jechałem. Chyba pochwalą..."

Na tych rozmyślaniach zeszedł mu czas oczekiwania na swoją kolejkę do głosu. Nie bardzo już nawet słuchał innych przemówień, ale kiedy wymieniono jego nazwisko — nie potrzebowano powtarzać po raz drugi. Wstał natychmiast i pewnym krokiem podszedł do prezydium.

Towarzysz Długosz wskazał mu ręką miejsce na końcu stołu, skąd przemawiano. Ktoś, siedzący obok, podsunął mu bliżej mikrofon. Huczko spojrzał na ten metalowy, okrągły przyrząd, potem poszukał wzrokiem głośniczków na ścianach.. Odchrząknął i zaczął:

— Przed wojną, jak wiecie towarzysze, nasz Sanok ładnie pracował. Dawał koleje elektryczne, tramwaje pulmanowskie... Obecnie, wskutek działań wojennych, zabudowania fabryczne zniszczone są bodaj że w 90 procentach. Ale my, robotnicy, nie bawiliśmy się w dyskusje, a tylko wzięliśmy się do roboty.. Listopadowy śnieg już spadł, a myśmy pazurami swoimi grzebali w tym śniegu... Zaczął nas dziesiątek, reszta początkowo śmiała się z nas, my jednak pokazaliśmy przykład, jak trzeba pracować, by fabryka powstała. Nasz przykład zdziałał, że już w styczniu rozruszaliśmy dwustu ludzi. Na produkcji pracowało 60 ludzi, a reszta przy odbudowie. Ciągnęliśmy maszyny spod gruzów, złożyliśmy raport co i gdzie brakuje. Pierwszy ruch w niezniszczonej hali puściliśmy zwyczajnymi walcami, takimi, co się tłucze kamienie na drodze...

Huczko odetchnął chwilę, popatrzył na salę: było cicho.

— Mam żal do Ministerstwa Przemysłu, — ciągnął dalej. — Wielu inżynierów do nas przyjeżdżało, specjalistów, znawców. Spisywali raporty, pojechali do Warszawy i na tym się skończyło. Pracowaliśmy przez cztery miesiące bez prowiantu, bez stałych wypłat, ale pracowaliśmy. Nie pod przymusem, ale ze zrozumieniem, że musimy fabrykę postawić, że to jest praca dla odbudowy kraju. Nie zważaliśmy na specjalistów, którzy nam nie wierzyli i osiągnęliśmy to, że fabrykę uruchomiliśmy i dziś mamy już gotowych 10 wagonów węglowych 25-tonowych.

— Ile? — rzucił ktoś od prezydialnego stołu.

— Ja jestem stary robotnik, — ciągnął, nie zwracając na to uwagi, Huczko. — Ja znam psychologię robotników: gdyby ja i inni tacy jak ja, nie byliby poszli do pracy, na pewno wszystko by stanęło i nikt by do roboty nie poszedł. Wytłumaczyliśmy robotnikom, że Sanok żyje z fabryki i że musimy fabrykę odbudować.

Minister i kierownik Wydziału Przemysłowego naradzali się nad czymś szeptem.

— Ile? — spytał raz jeszcze głośno Minister.

Huczko spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

— Towarzysz Minister pyta ile wam trzeba? — wyjaśnił Długosz.

— Czego? — w dalszym ciągu nie rozumiejąc, spytał Huczko.

— No — pół miliona, milion? — dopytywał się coraz bardziej natarczywie Minister.

Huczce wydało się, że w jego oczach dostrzega błysk kpiny.

— Niech będzie — milion, — powiedział twardo i dłonią na płask uderzył w stół, jakgdyby dobijał targu.

— Zgoda! — odparł Minister, powtarzając jego ruch.

Sala wybuchła oklaskami...

Huczko zrozumiał, że wystąpienie jego uznano za skończone. Długosz szukał już wśród swoich notatek nazwiska następnego mówcy. Minister, kręcąc głową i uśmiechając się zagadkowo, zapisał coś w notatniku.

I w tej chwili przemknęła przez głowę Huczki myśl, że „nie załatwił sprawy, jak trzeba". W Sanoku, myśląc o materialnej pomocy Warszawy, nie marzono nawet o tak dużej sumie, Ale „forsa to przecież nie wszystko", a ponadto, łatwość z jaką przyszedł mu ten sukces, — wydała się Huczce podejrzana. „Może powiedział za mało?..." Zgarbił się i pełen troski skierował się z powrotem na swoje miejsce, w bocznym pokoju.

Gdy już odchodził, poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się i zobaczył idącego ku niemu od prezydialnego stołu — szeroko uśmiechniętego — Sekretarza Partii.

Stanisław Nadzin

Warszawa — Sanok 1945.

NA WYSTAWIE WROCŁAWSKIEJ

Wśród bogato reprezentowanych na wystawie wrocławskiej dzieł sztuki plastycznej znajduje się rzeźba przedstawiająca kobietę, załamującą dłonie gestem, jeśli nie tragicznym, to pełnym troski. Ponieważ, jak już zauważono w jednym z reportaży, większość dzieł sztuki na wystawie ma bogatą treść symboliczno-literacką, ktoś zadał pytanie, co rzeźba wyobraża. Twórca zawahał się.

— Już wiem — zawołał na to jeden z obecnych przy rozmowie organizatorów wystawy. — Ta kobieta załamuje ręce, wołając: „Aj, aj, już za trzy dni otwarcie!"

Wystawę wykończono w tempie błyskawicznym. Ekipa rzemieślników i artystów, organizatorów i wykonawców pracowała dniem i nocą, by w przeddzień uroczystego otwarcia dokonywać już tylko ostatnich muśnięć, ostatnich retuszów. Dekoracyjne zarysy pawilonów i innych obiektów wystawowych wynurzyły się z twórczego chaosu, jak Wenus z piany morskiej i w dniu 22 lipca wabiły oko harmonijną kompozycją, pomysłowością i smakiem. Wystawa jest ładna — to jeden z głównych jej walorów. Ładna — dzięki pięknemu położeniu terenów wystawowych, dzięki zręcznemu rozwiązaniu przestrzennemu, wreszcie dzięki estetycznemu wyglądowi poszczególnych obiektów i eksponatów.

Całość wystawy rozpada się na dwie części: teren „A", zawierający tzw. wystawę „problemową", która w sposób obrazowy wyjaśnia rolę historyczną, polityczną i gospodarczą Ziem Odzyskanych oraz pawilon przemysłu, i na teren „B", gdzie mieści się reszta działu gospodarczego. Za trzeci człon wystawy, teren „C", uważa się miasto Wrocław, jego odrestaurowane zabytki, nowootwarte muzeum z galerią dzieł malarstwa polskiego, wystawę starych druków Ossolineum i poloniców biblioteki im. Bandtkego w Cieplicach. Na odgruzowanym Placu Świdnickim, w centrum Wrocławia, pomieszczono eksponaty obrazujące ogrom prac związanych z odbudową miasta.

Wystawa „problemowa" na terenie „A" obejmuje działy poświęcone zagadnieniom zniszczeń na Ziemiach Odzyskanych, ich zagadnieniom demograficznym, zobrazowaniu roli poszczególnych terenów, jak Śląsk, z osobnym uwzględnieniem problemu produkcji i eksportu węgla, jak rola rzeki Odry, Szczecina i portów nadbałtyckich, jak wreszcie dział poświęcony sprawom dziejów i rozwoju człowieka na Ziemiach Odzyskanych. W tej części Wystawy największe pole do popisu znaleźli artyści-plastycy, dając niekiedy piękne artystyczne rozwiązania powierzonych sobie prac, jak np. urządzenie działu węgla przez inż. arch. Zamecznika, jak opracowania plastyczne Jędrzejewskiego, czy M. Hiszpańskiej oraz malarstwo Jeszkego i Tomaszewskiego. Nie wszystkie oczywiście rozwiązania budzą równy aplauz. Nie brak pozycji wątpliwych. Na ogół jednak poziom plastyczny wystawy jest wysoki. Jeśli pominąć należące do wyjątków nieporozumienia (np. umieszczenie w dziale historycznym kiczu Jerzego Kossaka „Grunwald") daje ona dobre pojęcie o naszej kulturze plastycznej i może wpłynąć wychowawczo w sposób dodatni na rzesze zwiedzających.

Mniej efektowną, ale w istocie o wiele ciekawszą i ważniejszą częścią wystawy jest część gospodarcza, na którą składa się pawilon przemysłu w terenie „A" i cały teren „B". Potężne cielska maszyn z Raciborskiej Fabryki Obrabiarek i „Huty Łabędy" oraz eksponaty „PaFaWag-u" mają, kto wie, czy nie większą wymowę niż kolorowe wykresy, diagramy, freski i mapy. Eksponaty przemysłu metalowego, włókienniczego, spożywczego i innych rozmieszczone w trzydziestu kilku pawilonach terenu „B", dają pełny obraz rozwoju naszej gospodarki na Ziemiach Odzyskanych. Jest to w 90 proc. gospodarka uspołeczniona. Wbrew prognozom sceptyków jest przy tym prężna, pełna inicjatywy, daje obraz produkcji bogatej i różnorodnej.

W sumie Wystawa jest atrakcyjna i swoje zadanie propagandy naszych osiągnięć na użytek wewnętrzny powinna spełnić. Czy spełni również zadanie propagandy tych osiągnięć i praw naszych do Ziem Odzyskanych „na zewnątrz"?

Wydaje się, że w tym wypadku sprawa możności przekonania kogokolwiek leży w dużej mierze poza granicami oddziaływania nie tylko najpiękniej zorganizowanych wystaw, ale również najoczywiściej przemawiających żywych faktów. Nie stawiam pod znakiem zapytania sensu działu „problemowego" Wystawy Ziem Odzyskanych, ma on bowiem niewątpliwie ogromne znaczenie pedagogiczne i popularyzujące. Co do przekonywania jednak, to jest rzeczą jasną: nie ma Polaka, którego do sprawy Ziem Odzyskanych musiałoby się przekonywać, jeśli natomiast chodzi o innych, jest to najoczywiściej sprawą dobrej woli tych, do których ukazane plastycznie argumenty mają przemówić. Widzi się to, co się chce widzieć. Jest się przekonanym do tego, do czego chce się być przekonanym. Miejmy nadzieję, że ludzie dobrej woli, których zgromadzi w przyszłym miesiącu Wrocławski Kongres w obronie pokoju, wyniosą z wrocławskiej wystawy to, co powinno być jej motywem głównym: wolę Polski, aby gospodarzyć ziemiami nad Odrą w imię dobra, postępu i pokoju całej Europy, całej ludzkości.

Kandyd.

Na wystawie wrocławskiej: iglica, łuki i „Robotnik" Dunikowskiego

Jedna z rzeźb.

LESZEK KOŁAKOWSKI

O wydawnictwach marksistowskich *)

NIEZBYT wiele ukazuje się w Polsce prac naukowych, stawiających nowe, teoretyczne problemy filozofii materializmu dialektycznego, opracowujących po nowemu problemy już opracowane, bądź opracowujących jeszcze niegotowe. Możemy się starać ten stan rzeczy naprawiać, ale na razie, niemal jedynym źródłem masowego nauczania marksistowskiej teorii pozostają ciągle dzieła klasyków. Są to w wielkiej części opracowania doskonałe. Niedomoga główna, to brak wydawnictw krytycznych, wydań odpowiednio skomentowanych. Dotyczy to przede wszystkim dzieł filozoficznych i socjologicznych. Że fakt ten poczytać należy za niedomogę, wynika z trzech względów.

Po pierwsze język i terminologia klasyków wymagają uprzystępnienia. Po drugie należy wskazać jaki jest stosunek tekstów klasycznych do osiągnięć nauki współczesnej. Dotyczy to zwłaszcza rozważań i przykładów z zakresu nauk ścisłych, którymi posługują się klasycy. Po trzecie dla należytego zorientowania się w studiowanym dziele niezbędne są pewne wiadomości o okresie, w którym powstało, i sytuacji, która je zrodziła. Chodzi tu zarówno o społeczne warunki, ze względu na które te właśnie dzieła się narodziły, jak i idee, z którymi toczy się w nich polemikę, wreszcie o nazwiska, które często dziś niewiele mówią czytelnikowi. Przypomnijmy sobie, ile zasadniczych prac marksistowskiej teorii wyrosło z polemicznych zapasów! Trzeba powiedzieć coś o obliczu klasowym tej ideowej walki, trzeba zwrócić uwagę na to, w jaki sposób sytuacja społeczna wpłynęła tu na treść głoszonej ideologii. Nie wystarczą w tym wypadku krótkie przypisy, objaśniające ważniejsze nazwiska.

Zastrzeżenia te dotyczą głównie dzieł filozoficznych i socjologicznych. Wyszło ich w wymienionych wydawnictwach kilka: w „Bibliotece klasyków" — „Ludwik Feuerbach" Engelsa, — świetny wykład dziejów teoretycznych materializmu dialektycznego w początkowym okresie i głównych jego założeń; po raz pierwszy w całości na język polski przetłumaczony „Anti-Dühring" (obecnie już wchodzący na półki księgarskie) — najpełniejszy bodaj obraz tej filozofii; „Pochodzenie rodziny..." — wykładające marksistowskie teorie rozwoju społeczeństw; „O materializmie historycznym" — wybór prac, listów, dotyczących materialistycznego pojmowania dziejów; Stalina — „O materializmie dialektycznym i historycznym" — książka, z wszystkich filozoficznych opracowań marksizmu najbardziej dostępna masom; wreszcie przygotowywane właśnie niezrównane dzieło Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm". Wielką zasługę ma wydawnictwo, które po raz pierwszy w polskim języku wydaje tę kapitalną pracę, należącą do czołowych osiągnięć myśli marksistowskiej.

„Biblioteka socjalizmu naukowego", różni się tym od „Biblioteki klasyków marksizmu", że wydaje klasyczne dzieła niezupełnie klasycznych autorów. Znajdujemy tu, z prac filozoficznych przede wszystkim Plechanowa. A więc — wydane już dwukrotnie „Podstawowe zagadnienia marksizmu", „O roli jednostki w historii", „O materialistycznym pojmowaniu dziejów", wreszcie ostatnio wydany „Przyczynek do zagadnienia rozwoju monistycznego pojmowania dziejów". Te trzy ostatnie prace — to bodaj najznakomitsze i najpełniejsze opracowania teoretyczne materializmu dziejowego. Rozpraszają one wielką ilość nieporozumień, jakie wokół tej teorii się zebrały, a jakie często i dziś pokutują w umysłach niektórych teoretycznych reformatorów. Ostatnia praca jest już poprzedzona stosunkowo obszernym wstępem prof. Schaffa. Zarysowano w nim z grubsza problematykę dzieła i scharakteryzowano główne prądy ideowe, w walce z którymi ono powstało. Ostrze uwagi zwraca przy tym prof. Schaff na ostatnio podejmowane ataki na marksizm ze strony neopozytywizmu. Wstęp jego spełnia spośród zadań, które na wstępie wymieniłem — przede wszystkim trzecie — wprowadza w epokę. — Nie stanowi jednak całkowitej preparacji do dzieła.

Dobór dzieł w wydawnictwach wydaje się bardzo trafny. Obok wymienionych już prac filozoficznych i socjologicznych, znajdujemy jeszcze pewną ilość poświęconych ekonomii. Tu przede wszystkim należy wymienić—„Nauki ekonomiczne Karola Marksa" — Kautsky'ego („ Biblioteka socjalizmu naukowego") niezastąpiony podręcznik dla zaznajomienia laika z podstawami ekonomiki marksistowskiej; Marksa „Praca najemna i kapitał" oraz „Płaca, cena i zysk". Doskonały, popularny wykład elementów tej ekonomiki stanowi też część wydanej osobno pracy Lenina „Karol Marks". Znajdujemy ponadto prace historyczne. Tutaj, na pierwszym miejscu — trzy klasyczne wzory: „18-ty Brumaire'a", „Walki klasowe we Francji od 1848 do 1850 roku" i „Wojna domowa we Francji"—Marksa. Trudno o lepsze ilustracje zastosowania materialistycznej interpretacji dziejów. Pierwsza praca — to żywy przykład marksistowskiego pojmowania „roli jednostki w historii". Każde zaś z trzech dzieł — to odrębne arcydzieło nauki i literatury. Nic lepiej nie może nauczyć materializmu historycznego, niż te żywe, pełne krwi opisy, gdzie z całą jaskrawością ujawnione są klasowe oblicza historycznych wydarzeń i rzeczywiste motory masowych działań społecznych. Trzeba tu wspomnieć o wydanym już parokrotnie dziele Engelsa: „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki". Jest to, wydaje się, praca, od której należałoby zaczynać wszelkie kształcenie w teorii marksistowskiej. Pozwala ona zwłaszcza na zrozumienie społecznych uwarunkowań powstania teorii marksistowskiej i bardziej, niż jakakolwiek inna, przyczynia się do uprzytomnienia sobie faktu, że materializm dialektyczny nie jest objawieniem przyniesionym na świat przez proroków, ale myślą, którą narodziła potężna fala społeczna i która jest światłem przewodnim olbrzymiego, ruchu społecznego; że jest on płodem kapitalistycznego społeczeństwa i rodzącego się w nim ruchu socjalistycznego, nie zaś tylko koncepcją uczonych.

Uwidacznia się to wreszcie i w zasadniczym dziele, konstytucji niejako socjalizmu: „Manifeście Komunistycznym". Po wojnie ukazuje się on obecnie już w trzecim wydaniu. Wiele z poprzednio wymienionych również pojawiło się już w druku dwu—i trzykrotnie. Świadczy to o rosnących stale zainteresowaniach dla myśli marksistowskiej, świadczy o wzmagającej się popularności teorii, która jest przecież przywódczynią dokonywanych w naszym kraju przemian społecznych.

Z niewymienionych dotąd publikacji trzeba jeszcze wspomnieć o książeczce Lenina — „Pamięci Hercena", o różnych wyjątkach z dzieł Lenina zebranych pod ogólnym tytułem „O literaturze", oraz o będącej w przygotowaniu pracy „O związkach zawodowych." Dochodzą do tego prace, dotyczące strategii i taktyki walki rewolucyjnej: „Dwie taktyki socjal-demokracji w rewolucji demokratycznej" oraz „Dziecięca choroba lewicowości w komunizmie". Czołową jednak pozycję tego działu stanowi bezcenny dla zrozumienia taktyki leninowskiej zbiór Stalina: „Zagadnienia leninizmu". Dwie pierwsze książki, dla elementarnego obeznania ze sprawami taktyki są materiałem rudymentarnym. Na nich najwyraźniej uwydatnia się, w jaki sposób partia leninowska urzeczywistnia dwa postulaty, będące warunkami jej skutecznej akcji i utrzymania, w walce o socjalizm, przywództwa klasy robotniczej przez partię, utrzymania przywództwa narodu przez klasą robotniczą. Problemy te bynajmniej nie straciły na aktualności i dzisiaj, choć z mniejszą występują siłą wobec znacznie większego doświadczenia klasy robotniczej. Na tych pracach uczyła się i uczy klasa robotnicza, kiedy i kto jest jej wrogiem, kiedy i kto — sojusznikiem. „Zagadnienia leninizmu"—to niewyczerpana skarbnica dla działaczy robotniczych. Nie sposób wyobrazić dziś sobie poważnego działacza lub kogoś, kto mieni się być marksistą, ktoby się z tym dziełem szczegółowo nie zapoznał. Szczególnie ważne jest tu opracowanie kwestii chłopskiej, która zawsze niepoślednią odgrywała rolę w walce rewolucyjnej. Kto wie, czy nie należałoby wydać osobnego zbioru dzieł klasyków lub ich fragmentów, poświęconych specjalnie sprawie chłopskiej, czy też cyklu klasycznych publikacji marksistowskich na te tematy.

Pominięto w tym rejestrze wydawnictw pozycję największej bodaj doniosłości — „Dzieła wybrane" Marksa w 2 tomach. Pierwszy tom zawiera, prócz prac Marksa i Engelsa (dziwne w ogóle, że tylko pierwszy został wymieniony jako autor) drobne prace Lenina, świetnie podające popularny skrót teorii marksistowskiej, Stalina „O materializmie dialektycznym i historycznym" oraz „2 rozmowy z pierwszą delegacją amerykańską", ponadto wspomnienia o Marksie Lafargue'a i Liebknechta. Treść obu tomów, to „żelazny kapitał" wiedzy o marksizmie i socjalizmie dla każdego inteligentnego człowieka. Znajdujemy tam pewną ilość dzieł, wydanych w osobnych publikacjach, takich, jak „Manifest", drobne prace ekonomicze Marksa, „Ludwik Feuerbach", listy „O materializmie historycznym" i pod tymże tytułem rozprawa Engelsa „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki", trzy wspomniane już dzieła historyczne Marksa, fragmenty prac i listów, dotyczące spraw historycznych, spraw taktyki partii, spraw kolonialnych wreszcie. Z większych prac jeszcze „Krytykę programu Gotajskiego" wydaną zresztą również oddzielnie — jeden ze słupów herkulesowych w dziejach teorii partii robotniczej.

Na tym bodaj zamyka się wykaz dzieł, dotąd wydanych i w najbliższej przyszłości projektowanych. Jakie dalsze postulaty można by wysunąć pod adresem wydawnictwa? Najpilniejszą sprawą wydaje się ukończenie wydawania „Materializmu i empiriokrytycyzmu", stanowiącego wykład filozofii diamatu przystępny i znakomicie opracowany. Wydaje się koniecznym wznowienie zbioru prac Stalina, wydanych ongiś po polsku w ZSRR: „Marksizm i kwestia narodowa" — najlepsze z istniejących opracowanie problemów narodowościowych w ujęciu marksistowskim. Przydałaby się też bardzo reedycja 4-tomowego zbioru pism wybranych Lenina, tłumaczonego z 2-tomowego wydania rosyjskiego, a ongiś również w ZSRR wydanego po polsku. Kto wie, czy nie trzeba by pomyśleć nad wydaniem „Krótkiego kursu historii WKP(b)", która aczkolwiek rozeszła się w wielkiej ilości egzemplarzy, nie nasyciła, jak się zdaje, wszystkich potrzeb. A jest to przecież dzieło, na którym w socjalistycznym kraju wychowuje się całe pokolenie. Wreszcie podstawowa i najbardziej oczekiwana pozycja to „Kapitał" — po polsku. Być może, z pożytkiem byłoby wydanie jakichś prac, omawiających problemy moralności w pojmowaniu marksistowskim. Istnieje „Etyka" — Kautsky'ego, istnieje np. wydany w ZSRR po wojnie zbiór fragmentów Kalinina: „O komunisticzeskom wospitanii".

Na ogół jednak dobór wydaje się trafny. Całość publikacji może zaznajomić z podstawami filozofii, socjologii, ekonomiki marksistowskiej oraz zagadnieniami partii i taktyki rewolucyjnej. Przekłady w większości są staranne i porządne. Nie wiadomo tylko, czemu większość anonimowa. Należałoby raczej nie zatajać nazwisk tłumaczy. Trzeba pamiętać o dużej odpowiedzialności tłumaczenia klasyków. Klasycy marksizmu, zwłaszcza sam Marks, przynoszą w swoich dziełach obok naukowych — wartości literackie. Wiele z książek, które tu wymieniono, to prawdziwe arcydzieła języka i stylu, które poza wszystkim można czytać jak utwory literackie.

Na zakończenie warto podnieść jeszcze jedną zaletę omawianych tu wydawnictw: wszystkie prace są bardzo starannie opracowane pod względem zewnętrznym — i — co też ważne — znacznie tańsze niż inne, podobnej objętości. Życzyć należy jak najlepszego rozwoju tym bibliotekom, którym przypadła tak doniosła rola w budowie nowego życia kulturalnego w Polsce. Z niesłabnącą przecież siłą trwa u nas systematyczne deformowanie umysłów przez trzydzieści kilka periodyków i tysiące publikacji kościelnych. Spustoszeniom intelektualnym, dokonującym się pod ich wpływem, jedno tylko można przeciwstawić: coraz mocniej, coraz szerzej, coraz głębiej musi w masy nieść światło jasna myśl materialistyczna.

Leszek Kołakowski

*) „Książka" — „Biblioteka Klasyków Marksizmu" — „Biblioteka Socjalizmu Naukowego",

BOLESŁAW GEBERT

Rola związków zawodowych w ofensywie kulturalnej *)

NA TLE DOKONANYCH przemian rewolucyjnych w Polsce niewątpliwy jest fakt opóźnienia procesów kulturalnych, w tym i masowego ruchu kulturalnego wsi i miasta.

W związku z tym warto przypomnieć fragment z przemówienia Prezydenta we Wrocławiu: „Aby iść szybko naprzód, aby wydobyć się z ponurej spuścizny zniszczeń i zacofania, aby utorować narodowi wolną drogę pełnego, rozkwitu jego sił twórczych, konieczny jest rozwój nie tylko przemysłu i rolnictwa, konieczny jest również szybki rozwój oświaty, nauki, kultury i sztuki, konieczny jest równoczesny rozwój pełnych potrzeb materialnych i duchowych człowieka".

Nowe zadania gospodarcze i społeczne determinują z konieczności i postęp kulturalny.

Dziś znajdujemy się na tym etapie realizowania naszych planów gospodarczo-społecznej przebudowy państwa, przekształcania się z kraju rolniczo-przemysłowego w kraj przemysłowo-rolniczy, gdy sprawa dalszego podniesienia wydajności pracy, dalszego postępu gospodarczego ściśle się wiąże ze sprawą poziomu kulturalnego szerokich mas. Od tego będzie zależała wyższa kultura pracy zarówno w przemyśle, jak i rolnictwie. Poza palącą potrzebą rozbudowania szkolnictwa zawodowego; — jest to sprawa ogólnego poziomu kulturalnego człowieka pracy, wyzwolenia jego psychiki z obciążających widm przeszłości, jego nowego stosunku do pracy, jako do sprawy czci i honoru.

Właśnie związki zawodowe mają poważną rolę do spełnienia zarówno w mobilizowaniu mas do wykonania planów gospodarczych w odbudowie kraju, jak i w przebudowie psychiki narodu. Nieustająca troska związków zawodowych o polepszenie bytu materialnego pracujących łączy się z troską o ich zdrowie moralne — zadania socjalne, ekonomiczne z wielką rolą wychowawczą.

Związki zawodowe są twórczą szkołą masowego wychowania szerokich rzesz pracujących. Stwierdzenie tej prawdy należy dziś do abecadła marksizmu. Ale jak wiadomo prawda jest konkretna. Nam chodzi o nakreślenie właściwej drogi i konkretnych zadań związków zawodowych jako wychowawcy mas w warunkach nowej rzeczywistości polskiej, w warunkach demokracji ludowej jako etapu na drodze przejścia do socjalizmu. Z tego punktu widzenia twórcza rola klasy robotniczej, a co za tym idzie rola związków zawodowych, będzie wzrastała na wszystkich odcinkach naszego życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. W swoim czasie Lenin pisał podkreślając znaczenie związków zawodowych po zwycięskiej Rewolucji Socjalistycznej: „Rządzić krajem bez najściślejszej łączności ze związkami zawodowymi, bez gorącego ich poparcia, bez najbardziej ofiarnej ich pracy nie tylko w budownictwie gospodarczym... rozumie się nie moglibyśmy". Wszędzie tam, gdzie masy pracujące sprawują władzę, a więc i w naszych warunkach demokracji ludowej — te słowa Lenina znajdują swoje konkretne potwierdzenie.

Całość masowej, społecznej akcji związków zawodowych stanowi jeden z potężnych nurtów włączających się do szerokiego potoku, w którym zlewają się wysiłki milionów ludzi pracy, budujących nową Polskę. Dlatego i działalność wychowawcza, kulturalno-oświatowa związków zawodowych winna mieć szeroką perspektywę, winna być traktowana jako jeden z najważniejszych, odpowiedzialnych odcinków ogólno-narodowej ofensywy kulturalnej.

W swoim czasie towarzysz Wiesław mówił: „Aby jednolite i niezależne związki zawodowe stały się tym, czym stać się powinny, tj. czynnikiem odgrywającym decydującą rolę w życiu odrodzonej Polski, muszą one wzmóc swą twórczą aktywność w szeregach świata pracy. Zadania związków zawodowych nie mogą zamykać się w wąsko pojętym ekonomiźmie, w wąsko pojętej obronie interesów ekonomicznych swoich członków. Związki zawodowe muszą wychowywać bezpartyjne masy, zorganizowane w ich szeregach, w duchu zasad demokracji ludowej".

W realizowaniu tych zadań polskie związki zawodowe mają poza sobą trzyletni okres doświadczeń i poważne osiągnięcia. Ale życie idzie naprzód i stawia przed nami nowe zadania, zwłaszcza trudne w dziedzinie wychowawczej i kulturalnej. Najlepsze programy, deklaracje, uchwały nie zmieniają automatycznie człowieka. Jest to proces cierpliwej, uporczywej, wyjaśniającej pracy wychowawczej, którą przede wszystkim winny realizować związki zawodowe. Pamiętajmy — jak powiedział Lenin — że „siła przyzwyczajenia milionów jest najstraszliwszą siłą".

Droga upowszechnienia i uwspółcześnienia kultury — to najskuteczniejsza droga do przezwyciężenia oporów starego świata, do zwalczania martwych tradycyj. Wytyczne do realizowania tych zadań znajdujemy znów w mowie wrocławskiej Prezydenta. „Upowszechnienie — to znaczy ogarnięcie atmosferą i pragnieniem wiedzy, samokształcenia, upodobań kulturalnych i artystycznych milionów mas młodzieży robotniczej i chłopskiej i przyswojenie sobie przez te masy wiedzy i upodobań artystycznych, obudzenie zainteresowań kulturalnych w milionowych rzeszach ludu pracującego i ich zaspakajanie.

Upowszechnienie twórczości kulturalnej to znaczy wyzwolenie jej ze starych przesądów, to znaczy tworzenie nowych wartości kulturalnych, wyrastających z nowych form społecznych, z nowej rzeczywistości...."

Związki zawodowe poprzez rozbudowanie ruchu świetlicowego, rozwijanie samorodnej twórczości artystycznej, umasowienie czytelnictwa, kierowanie i popieranie wszelkich form samokształcenia, mają najwdzięczniejszy grunt do tego aby zapładniać naszą rzeczywistość nową treścią kulturalną.

Trudność jednak w realizowaniu tych zadań, polega na tym, że procesy kulturalne odbywają się w warunkach walki klasowej, w warunkach nacisku ideologii burżuazyjnej, drobnomieszczańskiej i na szeregi klasy robotniczej. Trzeba pamiętać, że w ustroju demokracji ludowej, przy zachowaniu drobno-towarowej gospodarki kapitalistycznej, która zawsze według słów Lenina jest żywym źródłem dla możliwego odrodzenia się kapitalizmu, — że w tych warunkach presja żywiołu drobnomieszczańskiego jest nieunikniona i czujność wobec niego w sferze ideologicznej — jest konieczna. Żywotność kołtuństwa, jego przenikanie na teren robotniczy to jaskrawy dowód tego niebezpieczeństwa. Wystarczy przypomnieć, że w roku 1946 niektóre świetlice, pod względem doboru repertuaru lubowały się we wszelkiego rodzaju szmirze, jak na przykład „Panna rekrutem", „Noc poślubna z przeszkodami", „Zyd w beczce" itd., aby zrozumieć siłę wpływu kołtuństwa. W związku z tym trzeba zdać sobie sprawę z tego, że reakcja właśnie na tym żeruje, że jej siła tkwi w zachowaniu jej oddziaływania na masy pracujące.

Szkodliwa aktywizacja polityczna kleru i w środowisku robotniczym świadczy o tym najlepiej. Wystarczy, że przypomnę o niedawno odbytej akcji kościoła katolickiego na Śląsku z politycznymi akcentami, wymierzonymi przeciwko polityce naszego państwa ludowego.

Ponieważ związki zawodowe jednoczą szerokie rzesze pracujących o nader rozmaitym i nierównym wachlarzu przekonań politycznych i poziomu kulturalnego, dlatego obowiązuje nas trudne zadanie karczowania zbutwiałych korzeni i wyrywania szkodliwych chwastów politycznych i ideowych skierowanych swym ostrzem przeciwko podstawom demokracji ludowej. To co godzi w fundamenty państwa ludowego osłabia również siłę naszego ruchu zawodowego. Dlatego obowiązuje nas zasada nieustępliwej, bezkompromisowej walki z siłą sprzeciwu starego świata, ale realizowanej w sposób wyrozumiały w masowej akcji wychowawczej i kulturalno - oświatowej. Trzeba stale pamiętać o tym, co z taką siłą podkreślał Lenin, że to co jest zrozumiałe, przeżyte przez awangardę klasy robotniczej, nie jest bynajmniej ani jasne, ani zrozumiałe dla szerokich mas pracujących. Stąd znalezienie różnych dróg podejścia do różnych środowisk, znalezienie drogi do ich psychiki jest centralnym zagadnieniem w pracy wychowawczej związków zawodowych.

Wychowanie mas w duchu wierności Polsce Ludowej, inaczej mówiąc, wychowanie świadomego budowniczego naszego państwa ludowego, ściśle się wiąże z przyswojeniem najlepszego dorobku kulturalnego przeszłości. Od czasu istnienia klas toczy się ustawiczna walka uciskanych z ich ciemiężcami, co znalazło swoje odbicie w literaturze, w sztuce, prądach myślowych i wyzwoleńczych ruchach społecznych przeszłości.

Nasz stosunek do kultury i sztuki ludowej, do spadku kulturalnego własnego narodu oraz innych narodów, to sprawa słusznego wyboru tych wartości z minionego wczoraj, które ugruntowują nasze — rewolucyjne dziś. Inaczej mówiąc, to sprawa wyboru ideowego kierunku upowszechniania i uspółczesniania kultury, to zagadnienie odpowiedniej polityki kulturalnej.

Tak dla przykładu, zwalczając dzisiaj wszelkie przejawy rasizmu, szowinizmu, antysemityzmu jako zatrutą broń faszyzmu, opieramy się w tej walce i na pięknej tradycji humanistycznej, postępowej, walczącej myśli tak europejskiej jak i polskiej.

Wystarczy, że przypomnę słynne „J'accuse" (oskarżam) Emila Zoli na procesie Dreyfusa, jak i wielki wkład naszej polskiej literatury, na przykład w twórczości Elizy Orzeszkowej, z jej namiętnym potępieniem antysemityzmu w głęboko ludzkiej książce, jaką jest „Meir Ezofowicz".

W naszym stosunku do kulturalnego spadku, a tym bardziej do schyłkowej kultury burżuazyjnej dnia dzisiejszego, musimy być czujni wobec rozkładowych jej elementów, siejących niewiarę w człowieka, próby uzasadnienia nieuleczalnego upodlenia natury ludzkiej, — pesymizm i beznadziejność głosi dziś egzystencjalizm, oraz inne odmiany filozofii i sztuki kapitalistycznej.

Z tymi szkodliwymi przejawami przenikającymi do nas, jak i z wszelkiego rodzaju formalistycznymi tendencjami odrywającymi sztukę, literaturę od jej wielkiej misji wychowawczej — ideowej — musimy staczać nieustępliwą walkę.

Nasz światopogląd marksistowski, nasza idea socjalistyczna jest przepojona optymizmem, wiarą w człowieka, w przeobrażającą siłę czynu milionów ludzi obudzonych do świadomego życia. Na tych podstawach ideowych budujemy naszą pracę wychowawczą.

Znaczenie masowego ruchu kulturalnego kierowanego przez związki zawodowe, polega głównie na tym, że wyzwalając drzemiącą w masach ludu pracującego inicjatywę, twórczość — ruch ten stwarza nowe wartości kulturalne i etyczne.

Mówiąc o nowych wartościach kulturalnych i etycznych, które stwarza klasa robotnicza, musimy odwoływać się do odżywczego źródła, do tradycji rewolucyjnych walk klasy robotniczej całego świata, do międzynarodowej solidarności proletariatu i do pięknych kart polskiego ruchu robotniczego.

Z optymizmu i wiary w zwycięstwo klasy robotniczej, które przyświecały Waryńskiemu, z ofiarności i bezgranicznego poświęcenia się sprawie Kasprzaka, z odwagi i bohaterstwa Okrzei w walce o społeczne i nasze narodowe wyzwolenie — płynie i nasza dzisiejsza siła.

Tak samo jak źródłem marksizmu był najlepszy dorobek myśli naukowej przed Marksem, tak samo jednym ze źródeł kulturalnego odrodzenia proletariatu jest dorobek postępowych, demokratycznych i wolnościowych nurtów w kulturze poprzednich epok. Przewodząc dziś swemu narodowi klasa robotnicza walczy o rozkwit kultury narodowej. To są wytyczne i dla polityki kulturalnej związków zawodowych.

Jak świadczy samorodna twórczość artystyczna prowadzona w świetlicach, jak świadczy wzrost świetlic na wsi i w mieście, wzrost potrzeb kulturalnych człowieka pracy, występuje on nie tylko jako konsument, odbiorca gotowego dorobku kulturalnego, lecz i jako twórca nowych wartości, w oparciu o nowy światopogląd. Dziś nowe mierniki społeczne i etyczne zaczynają decydować o istocie, o wartości człowieka. Dziś ruch przodowników pracy, który żywiołowo się zrodził w samej klasie robotniczej i został podjęty przez związki zawodowe, przecież też kształtuje i wychowuje nowego człowieka.

My działacze, aktywiści ruchu zawodowego powinniśmy sobie zdawać sprawę z tego, że w walce o nowego człowieka w Polsce, związkom zawodowym przypada zaszczytna ale i odpowiedzialna rola wychowawcy tego nowego człowieka, w oparciu o rozbudzoną twórczość, rozkołysanie aktywności, wciąganie do świadomego, społecznego życia coraz to nowych zastępów ludzi pracy.

Pod tym kątem widzenia zanalizujemy dotychczasowe osiągnięcia w pracy związków zawodowych na odcinku kulturalnym, nasze doświadczenia i pomyłki, i na podstawie naszego dorobku i potrzeb kulturalnych mas ludowych, nakreślimy drogi naszej działalności kulturalnej.

NIECO HISTORII

Do jednolitej organizacji związkowej przyszli zarówno członkowie przedwojennych, klasowych związków zawodowych, jak i członkowie dawnych żółtych związków i sanacyjnych ZZZ, przyszli pracownicy umysłowi, latami odseparowani w swoich kastowo-odrębnych organizacjach od związków robotników fizycznych, przyszły nowe, przed wojną niezorganizowane masy. Nie wolno nam także zapominać, że wskutek przebudowy struktury gospodarczej naszego państwa, do rozwijającego się przemysłu napływa siła robocza ze wsi. Nowe i stare grupy robotnicze trzeba wychowywać i zespalać ideologicznie.

Zacznę od zagadnienia kadr. Zbyteczne chyba będzie w tym gronie mówić, w jakim stanie znajdowały się kadry ruchu zawodowego po wojnie. Od tego, w jakim stopniu uda się rozwiązać problem kadr był w dużej mierze uzależniony dalszy postęp ruchu zawodowego. Wystarczy sobie także uprzytomnić, że problem ten można było rozwiązać przede wszystkim na drodze planowego szkolenia kadr.

Zaczęliśmy szkolić aktywistów związkowych już w 1945 roku, nie mając do tego odpowiednich warunków. Komisja Centralna Związków Zawodowych zorganizowała sieć szkół związkowych: centralną i wojewódzkie. W naszych szkołach i na kursach z każdym rokiem przechodziło naukę coraz więcej aktywistów związkowych.

W 1945 i 1946 r. łącznie przeszkoliliśmy 21.200 osób, w 1947 przeszkoliliśmy 53.065 osób, od stycznia do maja 1948 r. przeszkoliliśmy 32.995 osób.

W ciągu tego czasu stale podnosimy poziom nauczania w naszych szkołach.

Zaczęliśmy wydawać skrypty. Zorganizowaliśmy biblioteki szkolne. Ulepszamy program i metody nauczania. Nie oznacza to bynajmniej, że osiągnęliśmy zadawalający nas poziom nauki.

Do akcji zwalczania analfabetyzmu zabraliśmy się późno, bo dopiero w końcu 1947 r. Według niepełnych danych przeszkoliliśmy na kursach dla analfabetów 10.679 osób i na kursach repolonizacyjnych 12.579 osób. Ogółem więc w ciągu 1947 r. i połowy 1948 r. przeszkoliliśmy prawie 100.000 osób. W tym dziesiątki tysięcy członków rad zakładowych, komitetów folwarcznych, członków zarządów oddziałów, mężów zaufania, kilka tysięcy kierowników świetlic i członków komisyj kulturalno-oświatowych, tysiące aktywistów związkowych itd.

Ważny odcinek naszej pracy stanowi upowszechnienie czytelnictwa. W akcji czytelnictwa rozwijamy masową propagandę książki, czytelnictwa, organizujemy kursy dobrego czytania, wieczory dyskusyjne, literackie, autorskie, wystawy książki itp.

Związki zawodowe zakładają czytelnie w świetlicach, klubach, domach kultury, organizują sieć stałych i ruchomych bibliotek. Przy Zarządach Głównych i Okręgowych Komisjach Związków Zawodowych oraz poszczególnych oddziałach związków zawodowych organizuje się biblioteki specjalne, dostosowane do potrzeb aktywistów związkowych, zaś w większych zakładach pracy — biblioteki dla ogółu pracowników i ich rodzin.

Dla udostępnienia książki pracownikom mniejszych zakładów i państwowych majątków rolnych, KCZZ zakłada ośrodki bibliotek ruchomych.

Związki zawodowe zorganizowały 2.116 bibliotek, w których zgromadziły około 900.000 tomów. Związki zawodowe założyły także 900 czytelń. Ruchome biblioteki związkowe docierają do najbardziej oddalonych zakątków naszego kraju, a na Ziemiach Odzyskanych odgrywają pionierską rolę krzewiciela polskiej kultury.

Związki zawodowe prowadzą również szeroko zakrojoną akcję odczytową. Podam dla przykładu, że w roku 1947 wygłoszono 38.500 odczytów, referatów i pogadanek z udziałem ponad 3.000.000 słuchaczy.

Do poważnych naszych osiągnięć możemy zaliczyć rozwijający się masowy ruch świetlicowy.

Z pośród wielu form pracy świetlicowej udało nam się najbardziej rozwinąć samorodną twórczość artystyczną w zespołach teatralnych. Zeszłoroczny Festiwal, stanowiący przegląd dorobku artystycznego świetlic, wpłynął na umasowienie ruchu artystycznego. Zespoły artystyczne liczyły wówczas 40.000 osób. Po Festiwalu ilość zespołów wzrosła prawie o 100 procent. Zespoły artystyczne w naszych świetlicach liczą obecnie ponad 100.000 osób. W 1947 r. dały 25.000 przedstawień, zorganizowanych przez związki zawodowe, które oglądało 6.600.000 osób. Masowość tego ruchu stała się faktem. Nasze zespoły amatorskie są pionierami krzewienia kultury polskiej na Ziemiach Odzyskanych i odgrywają poważną rolę w akcji repolonizacyjnej. Coprawda poziom ideowy i samodzielność artystyczna pracy świetlicowej zespołów teatralnych są jeszcze niezadawalające.

Sprawa podniesienia poziomu jest najważniejszą i najtrudniejszą do rozwiązania. Jako zagadnienie pierwszej wagi wysuwa się na czoło sprawa dokształcania związkowych pracowników kulturalno-oświatowych.

Po zeszłorocznym Festiwalu postawiliśmy sobie za zadanie zmienić repertuar świetlicowych teatrów. W związku z tym Wydział nasz przeprowadził dużą pracę organizacyjną i uświadamiającą.

Ponadto zorganizowaliśmy Komisję Repertuarową, w skład której weszli wybitni przedstawiciele teatru, literatury, około 30 osób.

Do pracy nad repertuarem i wskazówkami reżyserskimi przyciągnęliśmy także Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, grupę profesorów i słuchaczy Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi.

Zorganizowaliśmy Ogólnopolski Konkurs Zespołów Teatralnych.

Podkreślamy przy tym, że zespoły będą oceniane przede wszystkim za dobór i odpowiednie wykonanie repertuaru. Do konkursu stanęło 600 zespołów teatralnych. W Warszawie oglądaliśmy obecnie finałowe eliminacje tego Konkursu.

Choć nie brak jeszcze rzeczy słabych — Konkurs ten świadczy o przełomie w doborze repertuaru, świadczy o ciekawym nowatorstwie. Z desek teatralnych zabrzmiały do nas po nowemu znane słowa Manifestu Komunistycznego, zdobywające sobie prawo do scenicznej interpretacji. Nie będzie przesadą, jeżeli zaryzykujemy twierdzenie, że pod względem szukania nowych form, wprowadzenia publicystyki politycznej do teatru — ruch świetlicowy może złamać rutynę teatru zawodowego i wskazać mu nowe drogi.

Jak pracowały nasze zespoły nad nowym repertuarem, jaka jest żywiołowa twórcza siła tego ruchu, zilustruję na paru przykładach.

Zespół kopalni „Anna" jeździł kilkakrotnie do Katowic, szperał w bibliotekach i teatrach, starał się zgłębić treść „Lilli Wenedy", aby ją wystawić w swoim osiedlu, a potem spowodował, że cała wieś, poważnie dotąd zgermanizowana, uczy się na pamięć — jak tam powiadają — tej pięknej książki.

Zespół metalowców, składający się przeważnie z autochtonów w starej mieścinie śląskiej, Mikołowie, rok czasu przygotowuje wystawienie „Balladyny" i na wierszu Słowackiego uczy się mowy polskiej, wypaczonej na skutek wielowiekowego niemczenia Śląska.

Zespół fabryki włókienniczej „Krosna" zaraża swoim entuzjazmem artystycznym całą załogę. Gdy powstają trudności ze zwolnieniem tego zespołu na parę dni z pracy, by przygotował się do eliminacyj konkursowych (zespół liczy przeszło 100 osób, przerwa w ich pracy mogła odbić się na wykonaniu planu produkcyjnego), 2.500 robotników deklaruje dobrowolnie odpracować czas potrzebny na próby eliminacyjne swojego zespołu.

Trzeba umieć uszanować ten wielki wysiłek i entuzjazm robotników, pnących się do wiedzy i kultury. Trzeba widzieć i zrozumieć przeżycia śpiewających w chórach górników, tańczących w zespołach włókniarek, grających na scenie kolejarzy, hutników, tramwajarzy,

*) Referat wygłoszony na Plenum Komisji Centralnej Związków Zawodowych w dniu 24 czerwca 1948 roku.

by zobaczyć nowe źródła i nowe twórcze siły narodu.

Związki zawodowe uczestniczą również w rozwiązywaniu zagadnienia teatru zawodowego, dając mu słusznie pojęte zamówienie społeczne.

Związki zawodowe rozwijają wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki i Związkiem Muzyków akcję upowszechniania muzyki wśród rzesz pracowniczych. Upowszechnienie muzyki wśród pracujących wymaga dużej pracy oświatowej i umuzykalnienia, przygotowującej do percepcji tej złożonej dziedziny sztuki (Np. prelekcje poprzedzające koncerty, wydawnictwa itp.). Jednym ze sposobów upowszechnienia muzyki jest także systematyczne urządzanie koncertów w Domach Kultury, w świetlicach, w halach fabrycznych — wszędzie tam, gdzie skupione są środowiska pracownicze.

Ruch zawodowy prowadzi również prace, zmierzające do upowszechnienia filmu, sztuki plastycznej i innych dziedzin sztuki.

Radykalna zmiana widowni, czego domagają się i co realizują związki zawodowe, wierzymy, że tchnie nowego ducha w nasz teatr zawodowy.

ŚWIETLICE

Mówiłem wyżej o osiągnięciach w dziedzinie artystyczno-teatralnej. Ale na odcinku pracy świetlicowej stoimy jeszcze przed wieloma nierozwiązanymi zagadnieniami.

Brak w Komisji Centralnej Związków Zawodowych poważnego ośrodka metodycznego i poradniczego dla świetlic, brak własnego pisma świetlicowego, jest bezspornym niedociągnięciem naszym.

Ogromna ilość naszych świetlic została ulokowana w nieodpowiednich lokalach wewnątrz fabryk, co utrudnia pracownikom i ich rodzinom uczęszczanie do tych świetlic. Dyrekcje często, zwłaszcza w pierwszym okresie po wojnie, szły po linii najmniejszego oporu. A cośmy zrobili, by ten stan zmienić? Nic, albo bardzo niewiele.

Ministerstwo Przemysłu wzięło na siebie obowiązek wyposażenia świetlic fabrycznych w sprzęt i urządzenia. Na ten cel przeznaczone są fundusze. Wydano także odpowiednie zarządzenia i instrukcje. A jak wygląda wnętrze świetlicy? Nieheblowany stół na kozłach i parę długich ławek, stanowi niestety tak często spotykane umeblowanie fabrycznej świetlicy. Lokale świetlic są z reguły nieremontowane. Widzieliśmy nieraz zimą świetliczan w czasie ich zajęć w płaszczach, bo lokale były nieopalane. Rady Zakładowe z nielicznymi wyjątkami nie pilnują tych spraw. Zarządy Główne też niewiele zrobiły, by stan ten zmienić.

Wśród kierowników świetlic związkowych mamy sporą grupę nauczycieli, mamy wielu wyrobionych aktywistów społecznych, mamy wielu entuzjastów tej pracy, choć bez dostatecznego przygotowania do niej.

Kierownicy świetlic pracują w bardzo ciężkich warunkach. Ich płace równają się często płacy niewykwalifikowanego robotnika. Ma to poza stroną ekonomiczną swój zły wydźwięk społeczny. Przyrównanie wynagrodzenia tego organizatora życia kulturalnego załogi do niewykwalifikowanego robotnika, nie przysparza mu autorytetu.

Dyrekcje często bez porozumienia się ze związkiem obsadzają stanowiska kierowników świetlic ludźmi nie nadającymi się do tej pracy.

Bywa i tak, że gdy robotnik ulegnie wypadkowi i traci zdolność do pracy fizycznej, dyrektor wówczas powierza mu kierownictwo świetlicy. Dyrekcje poza tym narzucają kierownikom świetlic szereg innych przypadkowych prac, niezwiązanych ze świetlicą. Zdarza się, że kierownik świetlicy nie przybywa na odprawę, zwołaną przez związek i wyjaśnia, że nie otrzymał zezwolenia na przyjazd, ponieważ był zajęty inną pracą poleconą mu przez dyrekcję. Administracje fabryczne zmuszają kierowników świetlic do bezmyślnego stawiania się do pracy wraz z załogą o 7 rano. Dyrekcja oczywiście nie ma prawa obsadzać stanowiska świetlicy, ani dysponować etatowym kierownikiem świetlicy, o tym wiedzą Zarządy Główne i OKZZ-ty. Sprawa została uregulowana drogą instrukcji Ministerstwa Przemysłu. Ale inaczej wygląda to w życiu. Nie ma konferencji, na której kierownicy świetlic nie mówili o trudnościach, wynikających z sytuacji tzw. dwóch władz na tym odcinku, a mianowicie: dyrekcji i związku.

Jestem przekonany, że gdy kierownik świetlicy będzie zależny od związku zawodowego i przez niego opłacany, ta sprawa tak ważna może być pozytywnie rozwiązana.

Podniesienie poziomu ideowego i artystycznego świetlic, zlikwidowanie chaosu organizacyjnego, ujednolicenie i podniesienie uposażeń kierowników świetlic, to są istotne zagadnienia ruchu świetlicowego jako podstawowej formy wychowania mas pracujących.

Dla usprawnienia i zróżnicowania ruchu świetlicowego konieczne jest w najkrótszym czasie zbadać faktyczny stan świetlic. Obowiązek ten leży na Zarządach Głównych wespół z Okręgowymi Komisjami Związków Zawodowych.

Musimy świetlice posegregować i ustalić zakres ich pracy według ich realnych możliwości. Widzę potrzebę podziału świetlic na 3 typy.

Pierwszy — to będą świetlice fabryczne, jako miejsce lektury pism, książek i odpoczynku.

Drugi typ — to będą świetlice przy takich zakładach pracy, gdzie poważna część robotników mieszka blisko fabryk. Podobna świetlica posiadająca odpowiedni lokal nazewnątrz fabryki, będzie miała warunki na rozwinięcie swojej działalności oświatowej i artystycznej w godzinach po pracy.

Trzeci typ — to świetlice dzielnicowe lub kluby robotnicze o szerszym zasięgu pracy w miastach lub osiedlach.

Dokładne zbadanie stanu świetlic, lokali, urządzeń i warunków pracy i t. p. pozwoli ułożyć zróżniczkowany program pracy o różnym zakresie ich działalności. W związku z tym musimy dokładnie zbadać kwalifikacje pracowników świetlicowych, odpowiednio rozstawić te kadry i racjonalnie je szkolić.

Działalność świetlic, jak dotąd, ograniczała się do pracy zespołów teatralnych, bądź tanecznych, muzycznych, chórów, biblioteki i czasem gazetki ściennej. Sprawy współzawodnictwa pracy, wynalazczość, racjonalizacja już nie wchodzą w sferę zainteresowań świetlicy, choć stanowią istotną treść ruchu zawodowego.

Świetlice muszą znaleźć oparcie dla swej pracy w Domach Kultury, które promieniowałyby w województwie, czy okręgu przemysłowym, które byłyby rzeczywistym ośrodkiem metodyczno-programowym dla całego ruchu świetlicowego. Aby one mogły stać się takim ośrodkiem trzeba przyciągnąć do pracy ludzi nauki, sztuki i literatury.

ANALFABETYZM

Akcja walki z analfabetyzmem należy do spraw doraźnych, ale bojowych i wymagających uwagi całego aktywu związków zawodowych. Sprawa analfabetyzmu dojrzała w swej hierarchicznej kolejności do właściwego rozwiązania, wymaga skoordynowanego wysiłku całego społeczeństwa, podjęcia ofensywy, zmobilizowania całego ruchu zawodowego do tej walki.

Chodzi tu nie tylko o naprawienie krzywd minionych stuleci.

Sprawa ma głębsze znaczenie — bowiem na drogę gospodarczej odbudowy kraju, rozwoju naszego życia, postępu i rozwoju demokracji, musi być wciągnięty cały naród. Zwalczanie analfabetyzmu uaktywni jak najszersze masy robotnicze w życiu polityczno-społecznym oraz zwiększy liczbę wykwalifikowanych rąk do pracy. Likwidowanie analfabetyzmu musi być wielką akcją społeczną, prowadzoną we wspólnym wysiłku związków zawodowych z Ministerstwem Oświaty, z Radą Społeczną do zwalczania analfabetyzmu.

Akcja zwalczania analfabetyzmu wchodzi w fazę zorganizowaną.

W bieżącym roku szkolnym związki zawodowe nakreśliły plan założenia na terenie zakładów pracy tysiąca kursów dla analfabetów, dla przeszkolenia 20-tu tysięcy osób. Czy mamy warunki na prowadzenie wielkiej kampanii nauczania niepiśmiennych? Twierdzę, że mamy. Powiem więcej: żadna instytucja w Polsce nie ma tak sprzyjających warunków dla rozwinięcia tej masowej akcji, jak związki zawodowe. Czyśmy wykorzystali te możliwości w tym kierunku? Myślę, że nie.

Przyznaję, że w Centrali podjęliśmy tę pracę z dużym opóźnieniem. Ale od czasu zapoczątkowania przez Komisję Centralną Związków Zawodowych zorganizowanej akcji zwalczania analfabetyzmu upłynęło prawie rok czasu, a rezultaty — powiedzmy sobie szczerze, jak na nasze możliwości, są mizerne. Zarządy Główne nie potraktowały zagadnienia walki z analfabetyzmem, jako ważnego zadania związków zawodowych. Potwierdziły to dobitnie między innymi niemal wszystkie wypowiedzi uczestników Ogólnopolskiej Konferencji Dyrektorów i Referentów Szkoleniowych w kwietniu r. b.

Jak wytłumaczyć, proszę Towarzyszy, fakt, że przedstawiciele jednego z największych związków zawodowych w naszym kraju, swą słabą pracę w tej dziedzinie tłumaczyli brakiem funduszów. Wierzyć się nie chce, że związek, liczący setki tysięcy członków, wydał w ciągu 3 lat tylko 100.000 zł na walkę z analfabetyzmem. Czy można powiedzieć, że dany związek poważnie potraktował walkę z analfabetyzmem? Oczywiście, że nie.

Zarządy Główne muszą zagadnienie walki z analfabetyzmem postawić w centrum swojej pracy oświatowej.

Na ten cel muszą związki znaleźć środki nie tylko z dotacji ,ale przede wszystkim z funduszów własnych, ze składek członkowskich. Wyznaczenie dla tej akcji odpowiedniej pozycji w budżecie związkowym, będzie m. inn. świadczyło o praktycznym ustosunkowaniu się do tak ważnej sprawy każdego związku.

Komisja Centralna opracowała plan akcji w zakresie walki z analfabetyzmem na II-gie półrocze, o czym już mówiłem, postawiła związkom konkretne zadania w ramach tego planu. Wyasygnowano odpowiednie kwoty, umożliwiające realizację planu. Lecz to przecież nie wyczerpuje zagadnienia. Dla realizacji ogólnego planu konieczne jest, aby Zarząd Główny opracował swój szczegółowy plan w tym zakresie i postawił przed każdym swoim Oddziałem konkretne zadanie. Z kolei musi konkretne zadania otrzymać każda rada zakładowa. Realizację planu trzeba organizować i kontrolować od góry do rady zakładowej włącznie. W akcji zwalczania analfabetyzmu winny związkom zawodowym przyjść z wydatną pomocą dyrekcje zakładów pracy.

Czeka nas żmudna, codzienna praca w tej walce, którą konsekwentnie prowadzić będziemy pod hasłem: **„Ani jednego analfabety w Polsce".**

Trud ten ponosimy nie tylko w imie interesów materialnych narodu, ponosimy go przede wszystkim dlatego, że sprawa zwalczenia analfabetyzmu w Polsce jest sprawą honoru Polski Ludowej.

APARAT PRACY KULTURALNO-OŚWIATOWEJ I SZKOLENIOWEJ

Z kolei przechodzę do zagadnienia aparatu pracy kulturalno-oświatowej. Aparat pracy kulturalno-oświatowej związków zawodowych jak i cały aparat związkowy, musi dbać o utrzymanie ciągłej łączności organizacji związkowej z masami jej członków.

W ciągu trzech lat wyrosły kadry oświatowców w związkach zawodowych. Obecnie czynnych jest kilkadziesiąt wydziałów kulturalno-oświatowych przy zarządach głównych i Okręgowych Komisjach Związków Zawodowych. 2.396 komisyj kulturalno-oświatowych z udziałem przeszło 7 tys. aktywistów, ponadto około 3 tys. kierowników świetlic, około 1.000 kierowników artystycznych, przeszło 1.000 pracowników bibliotecznych i t. d., co stanowi bezmała 13-tysięczną rzeszę oświatowców związkowych, prowadzących akcję kulturalno-oświatową w terenie.

Do współpracy z Działem Kulturalno-Oświatowym Komisji Centralnej Związków Zawodowych stanęło liczne grono wybitnych specjalistów nauki, literatury i sztuki.

Utworzono Komisje: Artystyczną, Repertuarową, Plastyczną, Biblioteczną. Nasz aparat pracy kulturalno-oświatowej zarówno w Centrali, jak i w terenie, pozyskał dla systematycznej współpracy 150 wybitnych specjalistów, co podnosi poziom naszej pracy.

Nowy typ kadr oświatowo-kulturalnych w związkach zawodowych, który wyrósł w praktyce, na fali masowego ruchu kulturalnego, jest jednym z poważnych dorobków związków zawodowych, możliwym tylko w warunkach demokracji ludowej. Kształcenie, podnoszenie poziomu tych kadr — to jedno z naszych najważniejszych zadań. W naszej polityce kadr trzeba jeszcze śmielej wysuwać ludzi, uczyć i wychowywać ich.

Na setkach kursów krótkoterminowych dokształcaliśmy stare, uczyliśmy nowe kadry kierowników świetlic, aktywistów świetlicowych, instruktorów artystycznych. To dało pewne wyniki.

Najważniejszym jednak i bardzo dotkliwym brakiem dotychczasowego szkolenia pracowników kulturalno-oświatowych była wadliwa, nieodpowiedzialna selekcja kandydatów. W wyniku tego tylko około 25% przeszkolonych stanęło do pracy w świetlicach.

Dziś musi być jasne dla każdego, że nadszedł czas poważnego szkolenia pracowników kulturalno-oświatowych. To zadanie może być rozwiązane tylko w skali ogólnopaństwowej przez włączenie do Ministerstwa Oświaty i Min. Kultury i Sztuki zadania kształcenia instruktorów artystycznych dla świetlic przy różnych wyższych uczelniach (szkoły teatralne, muzyczne, plastyczne), przez ożywienie dotychczas martwych placówek, jakimi są katedry oświaty dorosłych przy wyższych uczelniach Ministerstwa Oświaty. Te właśnie katedry powinny być ściśle związane z ruchem kulturalno-oświatowym związków zawodowych, powinny kształcić różnego typu oświatowców, dla tego ruchu. Poważne zamówienie społeczne związków zawodowych polega na tym, aby Ministerstwo Oświaty i Ministerstwo Kultury i Sztuki włączyło się do konkretnego i praktycznego realizowania zadań upowszechnienia kultury przez kształcenie kadr związkowych dla masowego ruchu kulturalnego i oświatowego wsi i miast. Aktualną pozostaje sprawa systematycznego dokształcania czynnych już kierowników świetlic, instruktorów artystycznych na krótkoterminowych kursach, prowadzonych przez związki zawodowe.

Trzeba poważnie rozpracować plan, programy i geografię tych kursów w porozumieniu z odpowiednimi Ministerstwami.

Oprócz tego musimy stwierdzić, że szkolenie kadr całego aktywu związkowego nie stoi jeszcze na poziomie wymogów dzisiejszego ruchu zawodowego.

Tempo szkolenia kadr związkowych jest zbyt powolne. Mimo cyfr przytoczonych już na początku tego referatu okazuje się, że tysiące członków oddziałów i członków rad zakładowych nie dostało się w czasie trwania ich kadencji na żaden z kursów związkowych. To samo dotyczy wielu innych aktywistów związkowych, którym potrzebne jest przeszkolenie. Prawdą jest, że mamy zbyt szczupłą sieć szkół związkowych, ale zapewniam Was, że nie w tym tkwi główna przyczyna naszych niedomagań na odcinku szkolnictwa. Szkoły związkowe nie są w pełni wykorzystywane. Szkoła Centralna w Łodzi z reguły nie posiada kompletu słuchaczy, w szkołach wojewódzkich, obliczonych na 80—100 słuchaczy, bywa często 40—50 osób. Zdarzyło się także 20 słuchaczy na kursie. Czyja w tym wina? Dawniej, gdy praca nasza była jeszcze słabo zorganizowana, zbyt późno nieraz Wydział Komisji Centralnej Związków Zawodowych zawiadamiał teren o kursach. Ale w roku 1947 Zarządy Główne i Okręgowe Komisje Związków Zawodowych otrzymywały półroczne kalendarzowe plany szkolenia, prócz tego szły okólniki, telegramy, przypomnienia. Mimo to szkoły nasze rzadko kiedy były wypełnione.

A teraz o doborze kandydatów. Nie owijając w bawełnę, stwierdzam: że nie odnosiliśmy się poważnie do tego zagadnienia. Nierzadko posyła się do szkoły członka zarządu, czy rady zakładowej, najmniej przydatnego do tej pracy. Ot, po prostu, może się bez niego fabryka czy biuro obejść, a więc niech idzie do szkoły. Jest to polityka krótkowzroczna, powiedzmy sobie, samobójcza.

W pracy szkoleniowej borykamy się również z wielkimi niedomaganiami. Brak opracowanej historii ruchu zawodowego, brak naukowych prac, precyzujących współczesne zadania Związków Zawodowych, utrudnia bardzo pracę naszych wykładowców i odbija się ujemnie na przygotowaniu naszych aktywistów związkowych do praktycznego realizowania nowych zadań.

Odczuwamy też bardzo brak poważnego ośrodka naukowo - metodycznego w systemie szkół związkowych. Są to zasadnicze niedomagania, które musimy przezwyciężyć, aby podnieść poziom szkolenia związkowego. Dlatego wyższa szkoła związkowa dla dokształcenia wykładowców powinna powstać w Warszawie.

Bieżący półroczny plan szkolenia aktywistów związkowych przewiduje przeszkolenie 20 tys. osób. Szkoły nasze potrafią do końca grudnia objąć nauką 9.000 aktywistów. Trzeba będzie rozbudować sieć mniejszych ośrodków szkoleniowych w terenie, które będą pracowały w oparciu o wojewódzkie szkoły Związków Zawodowych.

Podniesienie na wyższy poziom pracy kulturalno - oświatowej w Związkach Zawodowych wymaga większej niż dotychczas koordynacji naszej pracy, wymaga centralnego planu. Tymczasem dotychczasowe wysiłki w kierunku planowania naszej pracy są w praktyce krzyżowane przez zbytnią decentralizację i przez źle pojmowaną autonomię Związków Zawodowych.

Komisja Centralna Związków Zawodowych zwołuje systematycznie ogólnokrajowe konferencje kierowników wydziałów kulturalno-oświatowych, tam daje się nastawienie, opracowują się wspólnie plany pracy. A zarządy główne, często zamiast realizacji planu, rozwijają działalność niejednokrotnie kolidującą z wytycznymi tego planu. Taka metoda prowadzenia akcji kulturalno - oświatowej w zjednoczonym ruchu zawodowym jest szkodliwa. Metody tej nie da się uzasadnić specyfiką poszczególnych związków, albowiem już w ogólnym planie uwzględnia się potrzeby i specyficzne zadania terenu poszczególnych związków. Zresztą zasady naszej polityki kulturalnej jednakowo obowiązują cały ruch zawodowy.

Gdy mówimy o wadach naszych metod organizacyjnych, to nie sposób pominąć fatalnego stanu sprawozdawczości, co w wysokim stopniu utrudnia i obniża naszą pracę. Muszę zakomunikować, że od wielu zarządów głównych otrzymujemy zamiast sprawozdań, przypadkowe informacje, na podstawie których nie da się stworzyć obrazu pracy. Czasem do tego typu sprawozdania załączona jest motywacja w rodzaju „brak wiadomości z oddziałów". Jakaż wobec takiego stanu rzeczy może być praca planowa, systematyczna. Brak sprawozdawczości w pracy kulturalnej niepokojąco świadczy o tym, że ją słabo kontrolujemy. Brak stałej kontroli odczuwamy od góry do dołu. Przyznaję, że Dział Kulturalno - Oświatowy Komisji Centralnej Związków Zawodowych zbyt słabo kontroluje Wydziały w Zarządach Głównych i Okręgowych Komisjach Związków Zawodowych. Musimy to zmienić. Jedno z najsłabszych jednak miejsc w naszej pracy to brak w znacznie większym jeszcze stopniu kontroli pracy oświatowo - kulturalnej ze strony Zarządów Głównych. Konsekwencją tego jest zła praca wielu świetlic, zaśmiecenie repertuaru zespołów świetlicowych, obniżenie poziomu ideologicznego tego ważnego odcinka. Zdarza się, że zespół z wielkim przejęciem pracuje trzy miesiące nad wystawieniem w swojej świetlicy sztuki teatralnej i w czasie Konkursu dowiaduje się, że sztukę tę należy wycofać z repertuaru świetlicowego. Winien temu oczywiście i kierownik świetlicy i instruktor artystyczny, ale odpowiada przede wszystkim za to Związek, który tych spraw nie kontroluje.

Trzeba z tego wyciągnąć wnioski praktyczne i jak najprędzej rozbudować Wydziały Oświatowo - Kulturalne w Zarządach Głównych.

W skład tych Wydziałów muszą wejść ludzie odpowiedzialni za dział pracy szkoleniowej, świetlicowej, bibliotecznej. Przy Okręgowych Komisjach Związków Zawodowych trzeba zatrudnić poważne siły artystyczne dla instruktażu w świetlicach w zakresie artystycznym. Referaty kulturalno - oświatowe w Okręgowych Komisjach Związków Zawodowych winny grupować wokół siebie najlepszych aktorów, nauczycieli, profesorów z danych województw i zapewnić ich udział w pracy w Komisji Repertuarowej i Teatralnej — podobnych do Komisyj utworzonych przy Dziale Kulturalno - Oświatowym Komisji Centralnej Związków Zawodowych.

Do pracy w Komisjach kulturalno-oświatowych winni się włączyć członkowie związków artystycznych i nauczyciele. Szeroki udział członków związków artystycznych i nauczycieli w aparacie pracy kulturalno-oświatowej przyczyni się do ściślejszego powiązania się ich z masami robotniczymi i do podniesienia na wyższy poziom pracy kulturalno - oświatowej w Związkach Zawodowych.

Bolesław Gebert.

TREŚĆ NR 30:

Ryszard Matuszewski — **Na szlaku Wrocław — Szczecin;** Wiesław Karczewski — **Przed Kongresem Wrocławskim;** Stefan Flukowski — **Xawery Dunikowski (poemat);** Władysław Rymkiewicz — **Przeprowadzka;** Federico Garcia Lorca — **Romanca o hiszpańskiej żandarmerii;** Henryk Markiewicz — **Nowe spojrzenie na „Lalkę";** Zofia Lissa — **O społecznych funkcjach muzyki artystycznej i popularnej;** Wanda Janowska — **Z teatrów łódzkich;** Jerzy Miller — **Książka Wiery Panowej; Noty.**

MARIUSZ MARGAL

Ilustrowała Regina Kańska

Paryski czerwiec 1948

MONETA przetoczyła się poza linię zakreśloną kredą na bruku, minęła, rzucona zbyt silnie, kilka jednofrankowych krążków i krawędź stopnia, spadła siłą odbicia na następny, nabrała rozpędu i dzwoniąc o kamień schodów, potoczyła sie w dół, wprost pod nogi bawiących się dziewcząt, które ją zatrzymały przed następnym piętrem opadającej w dół uliczki.

— Denise, Denise! — wołała młoda kobieta o zniszczonej i pokrytej zmarszczkami twarzy, przechylając się przez półotwarte okno, które było jednocześnie parterem i pierwszym piętrem, bo dom stał na zboczu góry i okna zmieniały wysokość jak plastyczna fotocrafia wygląd, zależnie od kąta widzenia.

— Sacrebleu! — zaklął niefortunny gracz i nadziany na metalową poręcz ześlizgnął się jak błyskawica w dół.

— Idę już, idę! odpowiedziała dziewczynka z warkoczami, odłożyła skakankę i wspięła się po schodach ku wyższej terasie, gdzie trzech chłopców paląc papierosa czekało swego kolegi. Denise weszła w ciemne wejście odrapanej bramy i wszyscy trzej chłopcy odwrócili się za nią jak widzowie za piłką na meczu tenisowym. Niczego sobie! — powiedział jeden, wyjmując papierosa z ust. Niczego sobie! — potwierdził drugi przez zęby. Chłopcy mieli może po trzynaście lat.

— Dziękuję! — powiedział chłopiec odbierając od dziewczynki, która przerwała zabawę, jednofrankowy krążek i spojrzał na nią natarczywym, zmuszającym do obrony wzrokiem dorosłego mężczyzny. Dziewczynka zaczerwieniła się, cofnęła o krok, odrzuciła włosy i, kiedy chłopak nie odchodził, zapytała cicho: Ty nie jesteś z dzielnicy?

— Tą drogą schodził wraz z towarzyszami Święty Dionizy, pierwszy biskup Paryża, po cudzie zrośnięcia się z ciałem ściętej przez pogańskich katów głowy — monotonnie tłumaczył przewodnik wspinającej się pod górę grupie turystów. — Po drugiej stronie zbocza zobaczą państwo zbudowaną na miejscu kaźni kaplicz kę, w której Ignacy Loyola założył zakon Jezuitów. Powstała w VIII wieku tradycja nadała szczytowi nazwę Mont Martyres i ta nazwa Góry Męczenników pozostała aż po dziś dzień, choć nieco zniekształcona. Wchodzimy teraz na sam wierzchołek, skąd — spod bazyliki Sacre Coeur — państwo zobaczą... Przepuśćcie, dzieci, proszę... — Dzieci! —żachnął się zaczepnie chłopak z zaciekawieniem oglądający cudzoziemców... — skąd państwo zobaczą wspaniały, rozległy widok na Paryż. Stąd zaś, proszę się odwrócić, mogą państwo dostrzec północne, robotnicze przedmieścia Paryża, Saint Denis, nazwany tak od imienia świętego biskupa, Saint Ouen i Clingnancourt. — Robotnicze? zapytała dama z parasolem. — Nothing interesting, dorzucił pan w kapeluszu z przewieszonym przez ramię płaszczem. — Nic ciekawego, rzeczywiście—potwierdził przewodnik. W dali, z mozaiki przygnębionej szarości jednolitych domów, wyrywały się w niebo dyszące buntem, unieruchomione kominy.

— Zejdźcie! — machnął dwa razy ręką, przywołując swoich towarzyszy, chłopak w dole i już się przedstawiał grupce dziewcząt, które wymieniały ukradkiem półlękliwe, półradosne spojrzenia i przygładzały ukradkiem włosy. Chłopcy zebrali z ziemi monety, i spadli w dół, roztrącając majestatyczną wycieczkę.

— Co za dzieci! — westchnęła pani z parasolem, ale chłopcy już byli na dole i formowali się w pary. Przewodnik spojrzał na damę spode łba i odwrócił się. Dwie dziewczynki składały skakankę i zaśmiewały się z min, które ich towarzysz posyłał w kierunku wycieczki, jakgdyby go właśnie miał uchwycić Poulbot migawką swojego obrazu.

Wycieczka znikła za najwyższą terasą. Za zasłoniętą firanką Denise przerywała płaczem ostre wymówki matki. Jakiś aparat radiowy rozpraszał ciszę schodów ulicy Mont Cenis, którą siedemnaście wieków temu zstępowali święci.

Poulbot był tuż obok. Trzeba było tylko wejść ulicą w Place de Tertre i zatrzymać się przed starym, brudnoszarym domem w ślepym kącie placu. — Państwo nie wiedzą kto to był Poulbot? — Przewodnik był nieprzyjemnie zdziwiony. Pani z parasolką zaczęła szybko wertować zielony Guide de Paris. Pan w kapeluszu chrząknął z zakłopotaniem i przełożył płaszcz na drugie ramię. Grupa studentów duńskich w białych czapeczkach zatrzymała się przed domem, przeczytała napis: REPUBLIQUE DE MONTMARTRE — MAISON DES POULBOTS i weszła do wewnątrz. — Poulbot był malarzem, objaśniał przewodnik. Prawdziwym. Z Montmartre. Malował dzieci. Wyłapywał je z ulic, z podwórz, z wilgotnych izb, o których nie wspominają przewodniki i malował. Brudne, zasmarkane, rozczochrane, obdarte, ciekawe, wszędobylskie, wścibskie, niesforne, czupurne, zacięte, śmiałe, wesołe. W tym domu wystawiono jego obrazy. — Wejdziemy?— Dzieci?— wzruszyła ramionami pani z parasolem. — Już widziałam. Nie ma nic ciekawszego? — Przewodnik przesuwał chwilę wzrok po wycieczkowiczach. — Dlaczego „des Poulbots" jest w liczbie mnogiej? Czy było kilku braci?—spytał młody człowiek w sportowym ubraniu, chcąc zaimponować znajomością języka swej towarzyszce, która nie zwracała na niego uwagi. Pan w kapeluszu uśmiechnął się ironicznie. — Bo to jest właśnie liczba mnoga — wyjaśniał przewodnik. — Bo my tu nasze dzieci nazywamy „les Poulbots", imieniem ich wielkiego przyjaciela. Bo one są właśnie takie, jakimi on je widział. A ten dom jest ich domem. I co niedzielę przychodzą tu, by obejrzeć nas, kiedyśmy byli dziećmi i może dlatego właśnie, że widzą siebie, tak trudno nam zdobyć u nich posłuszeństwo i autorytet. I co niedzielę przychodzą tu ich starsi przyjaciele i uczą je miłości do piękna i życia. I do tych krętych, wąskich uliczek, które są im skwerem i parkiem i placem do zabaw. Bez dozorców i krat. Ale bez klombów i kwiatów.— Przewodnik przeszedł w gwarę i mówił bardzo szybko, połykając słowa i przerywając zdania. Pan w kapeluszu uśmiechał się ironicznie. Przewodnik był typowym Francuzem, był zanadto Francuzem, by przerwać tok swoich myśli. — O te dzieci, proszę państwa—ciągnął dalej—o nasze dzieci toczy się teraz walka. Co do mnie nie mam możliwości i nie chcę posyłać moich dzieci do płatnych szkół klerykalnych. Posyłam swoje dzieci do świeckiej szkoły i nie chcę, by tamte były uprzywilejowane. By oprócz kleru i rodziców, którzy za nie płacą, subwencjonowało je jeszcze państwo moimi podat-

kami, kiedy świecka szkoła, bezpłatna, jest wyłącznie na utrzymaniu państwa, które ją zaniedbuje. A przyznają państwo, że mimo swobody wychowania religijnego, ten nowy dekret pani Poinso-Chapuis tak jak dekret Petaina...—Pan w kapeluszu przestał się uśmiechać i przerwał. — My panu za politykę nie płacimy. Proszę oprowadzać dalej—Pani z parasolem skrzywiła się pogardliwie i zmierzyła przewodnika obrażonym wzrokiem. Wycieczka przesunęła się o kilka kroków dalej.

„O Montmartre, pays d'amour, Dans tes nuits de grisantes folies Chaque femme paraît plus jolie..." Trzyosobowa orkiestra akompaniowała śpiewakowi, który stał w półotwartych drzwiach. Wewnątrz kilku gości siedziało w ciemnej, niskiej sali, popijając przy stolikach aperitif. Drewniane ściany całkowicie pokryte były obrazami, ale w półmroku trudno było dostrzec ich tematykę i koloryt. „W tym budynku mieściło się od roku 1790 pierwsze merostwo gminy Montmartre" głosiła tabliczka na murze. — Puvis, Henner, Lautrec, Metivet, Willette, przewodnik mieszał w potoku słów nazwiska malarzy, których obrazy miały znajdować się w dawnym lokalu merostwa, ale, pomny doświadczenia, już nie zapraszał do środka. Pani z parasolką przejęła inicjatywę i pociągając za sobą całe towarzystwo usiadła przy stoliku.—To jest jednak męczące — powiedziała do przewodnika i głęboko westchnąwszy otworzyła swój „Guide de Paris". — Może pan się czegoś napić, zwróciła się protekcyjnie do przewodnika, ja już zajmę towarzystwo. — Co państwo sobie życzą? zapytał młody kelner z białą serwetką przerzuconą nonszalancko przez rękę. — „W roku 1871, czytała półgłosem z przewodnika pani z parasolem, po wkroczeniu Prusaków do Paryża, gwardia narodowa przetransportowała na górę 171 armat, których nie chciała zdać nieprzyjacielowi. Po wycofaniu się wroga za mury, Thiers nakazał odebranie dział Montmartrczykom. 18 marca o świcie generał Lecomte, mimo wrogiego nastawienia ludu, przybywa po armaty. Kiedy posyła ludzi po specjalny zaprzęg w celu spuszczenia armat, tłum zbiera się coraz liczniej, brata z żołnierzami, kieruje działa na miasto. Oporni oficerowie zostają aresztowani. Generał gwardii narodowej, Clement Thomas, który brał udział w represjach roku 1843 zostaje rozstrzelany pod murem wraz z generałem Lecomte. Montmartre utrzymał się w rękach ludu do 23 maja, rozpoczynając swoją postawą Ko..." — Kelner płacić! przerwał pan w kapeluszu. Dajmy pokój polityce, droga pani, zwrócił się do czytającej damy, która słabo protestowała, że to przecież historia.

— Ośmioma głosami! biadał przy bufecie przewodnik nad wieczorną gazetą, pachnącą jeszcze farbą i drukarnią, i kiwając głową patrzał na pięciokolumnowy nagłówek: — „Ośmioma głosami większości Zgromadzenie Narodowe przyjęło zlecenia londyńskie". Patron rozłożył ręce. — A gadali, a dyskutowali! Ośmioma głosami, psiakrew! Westchnął i dolał sobie do kieliszka. — Cześć stary, już cię, widzę, twoi goście wołają. A powiedz im tam przy okazji, że to tu się zaczęła Komuna Paryska! Drzwi zadzwoniły blaszką poruszonego metalu.

„Republika Montmartre — Wesołość, Sztuka, Piękno, Merostwo Wolnej Gminy Starego Montmartre". Młody człowiek w sportowym ubraniu stał przed tym dwuliniowym wielkim napisem i nie rozumiał. Jeżeli Republika, to skąd merostwo i gmina? I dlaczego wolna gmina? A w ogóle cóż oznacza ta Republika?

Nowe merostwo mieściło się nawprost starego, trzeba było tylko przeciąć placyk zajęty przez okrągłe stoliki, z których wyrastały płócienne parasole o łagodnych kolorach. „Nie wchodźcie tu, hipokryci i bigoci!" wisiało ostrzeżenie nad drzwiami, a tuż pod nim, nieco z boku, można było przeczytać ostatni numer miesięcznika gminy pod nazwą: „Mon Paris — Montmartre".

— Czy może mi pan wreszcie to objaśnić? nalegał niecierpliwie młodzieniec w sportowym ubraniu, czy też mam się zwrócić bezpośrednio do mera?

— Mera nie ma w domu, odpowiedziała sprzedawczyni miesięcznika, która szydełkowała u wejścia i usłyszała ostatnie słowa. A o co panu chodzi? Młody człowiek zmieszał się i poprosił o pismo. Przewodnik zaczął tłumaczyć.

„Montmartre dzięki swojemu niedostępnemu położeniu na szczycie góry utrzymał swoją odrębność do połowy XIX wieku, kiedy to fortyfikacje Thiersa wcieliły go w obręb miasta. Przyłączenie do Paryża oznaczało likwidację niezależnej gminy Montmartru, która istniała od końca XVIII wieku. Niemniej jednak za Trzeciej Republiki Montmartre uzyskał przywilej drobnej niezależności. Została stworzona „wolna" gmina, której działalność, ograniczona do terenu starego Montmartru polega na utrzymaniu zabytków artystycznych i architektonicznych oraz tradycji ludowej twórczości. Dochody gmina czerpie z podatków, którymi są obłożone znajdujące się na jej terenie sklepy i lokale przeznaczone dla turystów oraz z własnych przedsiębiorstw, jak restauracja na wolnym powietrzu, dom Poulbots i innych".

— Ale co to ma wspólnego z republiką? przerwał zawiedziony młody człowiek, który oczekiwał bardziej romantycznej opowieści.

Oto nadchodził i mer, jednoręki Pierre Lapic, w swoim błękitnym mundurze niespotykanego kroju, obwieszony medalami. — Nie mer, tylko „garde champêtre", powiedział na przywitanie swoim tubalnym głosem, nie zdążywszy się jeszcze wyzwolić od rozśpiewanego towarzystwa, które go tu doprowadziło. To już taka tradycyjna nazwa, bo proszę pamiętać, że pierwszy mer Montmartru musiał jeszcze spełniać obowiązek strażnika pól. Tak, tu wszędzie jeszcze na początku ubiegłego wieku były uprawne pola i zaledwie 2000 mieszkańców, podczas gdy tam w dole Paryż przekraczał liczbę pół miliona. Nawet z początkiem Trzeciej Republiki, gdy w Paryżu było już milion osiemset tysięcy ludności, tu jeszcze wiatraki mełły mąkę i nie stały bezczynnie, jak teraz te trzy, które zachowano dla dekoracji nocnych lokali i epatowania zagranicznych turystów.

Machnął ręką, usiadł ciężko przy stoliku i zaprotestował, gdy towarzyszka młodego człowieka w sportowym ubraniu podniosła do oka migawkę kwadratowego kodaczka.— Tylko nie to, proszę! powiedział i zasłonił ręką twarz. Potem wstał. — Już czas na mnie. I tak rozgadałem się dziś wyjątkowo, zwrócił się do kobiety sprzedającej gazety. Kobieta potwierdziła skinieniem głowy.

Dopiero gdy zostaliśmy sami dał się namówić. Nasza Republika jest zabawą, powiedział. Zabawą dorosłych ludzi w paryskie San Marino. Utrzymujemy nawet stosunki „dyplomatyczne" z podobnymi do nas, nielicznymi zresztą we Francji wolnymi gminami w Provins-les-Roses, Butte-Chaumont, Chapelle-Goutte-d'Or i innymi. Poza tym mamy reprezentantów we wszystkich towarzystwach przyjaciół Starego Montmartru. Jednemu z nich, naszemu „ambasadorowi" w Batignolles, zdarzył się podczas okupacji niewiarygodny wypadek. Przejeżdżając w roku 1943 granicę stref w Chalon-sur-Marne, przez nieuwagę przedstawił do kontroli niemieckiej swoją legitymację „Ambasadora Republiki Montmartre". Efekt był niespodziewany. Żołnierze niemieccy nie zorientowali się i oddając naszemu „ambasadorowi" wszelkie możliwe honory, wycofali się z należnym dyplomacie szacunkiem. Tylko podczas dalszej drogi wszyscy współpasażerowie milczeli bez przerwy jak zaklęci. A przecież przez cały okres okupacji wolna gmina i republika były nieczynne. Tu jest nawet napis — wskazał ręką na tabliczkę i powiedział z dumą: Bośmy się nie chcieli splamić kolaboracją.

Zapadał zmrok i coraz więcej aut przebijało się ciasnymi uliczkami ku Place de Tertre. Placyk już śpiewał przytłumionymi odgłosami piosenek, starych, miłosnych piosenek francuskich, śpiewanych w kawiarenkach i lokalach. Placyk już przybierał swój wygląd teatralnej dekoracji, oświetlanej co wieczór dla ciekawych widzów. Lekki wietrzyk igrał frendzlami różnokolorowych parasoli. W ciasnych zaułkach latarnie gazowe wydłużały cienie wyczekujących samotnie kobiet.

— To już nie to, co było, pogrążył się we wspomnieniach mer. Ten antykwariat „Pod czytającą małpą" z fałszywymi pamiątkami, te restauracje nastrojowo oświetlone, ten dancing w sztucznym ogrodzie, ten cały plac wreszcie są czymś nieprawdziwym, tekturowym, czymś stworzonym dla i przez cudzoziemców. Nie czuje pan tego? Kiedyś rodził się tu impresjonizm, w wiejskiej ciszy, w ucieczce od Paryża, spędzali tu wieczory i tworzyli Manet, Degas, Pissarro, Renoir, Cézanne. Potem zjeżdżali się ludzie zewsząd, by oglądać te miejsca, które były przecież podobne do wszystkich innych jeszcze nieodnalezionych. Dla tych ciekawych snobów, czcicieli świętości zaczęto tworzyć Montmartre, który nigdy nie istniał i wmawiać im, że to tak właśnie było. Już i coraz mniej malarzy przychodzi, by znajdować tu piękno. A przecież jest go tu jeszcze tyle! Malownicza uliczka Saint Rustique z widokiem na Sacre-Coeur, kościołek Świętego Piotra z cmentarzem z czasów Merowingów, winnica, reszta wiejskiej świetności Montmartru i miejsce uroczyście obchodzonego święta winobrania, stary „Lapin agile", gdzie ciągle ludowi, montmartrscy śpiewacy średniowiecznymi melodiami, Ronsardem i Villonem, porywają skupioną w zadymionej ciasnocie publiczność, wreszcie potężne, szaro-białe na tle błękitnego nieba, pseudobizantyjskie monstrum bazyliki Sacre Coeur.

Ale publiczność woli „lá-bas", woli w dole położoną dzielnicę nowego Montmartru, nocnego życia z bulwarami Clichy i Rochechouart, placami Pigalle i Blanche. Lokal przy lokalu, neon przy neonie, reklama przy reklamie, fotos przy fotosie, młodzi „naganiacze" w liberiach uwijają się wśród niezdecydowanego tłumu cudzoziemców, zachęcają i prowadzą: — Pan dokąd? Do nas, do nas, proszę państwa!

Pan dokąd? Ja? W górę. Na stary Montmartre. Na taras przed Sacre Coeur. Pieszo, sam, nie kolejką. Teraz są noce paryskie, niewidzialne reflektory wyrywają ciemności całe piękno wiekowej kultury. Jak pięknie wygląda to z wysokości! Na wprost majestat Nôtre Dame, na prawo filigranowa siatka wieży Eiffla, na lewo statua Republiki daje znak ręką Bastylii. Concorde wytryska kolorowymi fontannami, Pałac Inwalidów złoci się okrągłą kopułą, wymarłe Tuillerie nęcą dziesiątkiem w dzień obojętnie mijanych rzeźb. Noce paryskie! Rita Hayworth przyjechała do stolicy świata! Największy cyrk Europy rozbił tu swoje namioty! Wszystkie latarnie zapalono na Polach Elizejskich i rue de Rivoli! Patrzmy przed siebie! Z tyłu i tak jest ciemno. Nothing interesting. Śpią przedmieścia Saint Denis, Saint Ouen, Clignancourt przed nowym, codziennym jutrem pracy. Patrzmy przed siebie! Z wyżyn Montmartru ogarnąć, widzieć i chłonąć Paryż.

Mariusz Margal

Noty

W ojczyźnie Pablo Nerudy

Korespondent „New York Post" donosi z Santiago, iż pod pozorem walki z komunizmem koła profrankistowskie i faszystowskie rozwijają nieskrępowaną działalność w Chile. Szereg publikacji, tolerowanych i wspieranych przez rząd chilijski uprawia jawnie propagandę na rzecz gen. Franco, faszyzmu włoskiego i hitleryzmu. Jeden z miejscowych tygodników „Bandera Negra" opublikował ostatnio artykuł, głoszący, że „Niemcy i hitleryzm są najwspanialszym tworem wieku XX". W prasie chilijskiej pojawiają się także fotografie Mussoliniego.

W kraju pełno jest agentów gen. Franco, którzy napływają tutaj bez przeszkód. Równocześnie koła kapitalistyczne w Chile i Płn. Ameryce, które mają decydujący wpływ na obecny rząd prezydenta Viedela po jego zdradzie Frontu Ludowego w jesieni ub. roku, czynią, według korespondenta „New York Post" maksymalne wysiłki dla spowodowania poprawy stosunków między Chile i Hiszpanią gen. Franco.

bs.

Srebro czy złoto?

Urzędnicy Stanów Zjednoczonych w Panamie dokonali wspaniałego podziału tamtejszej ludności na dwie kategorie. Pierwsza kategoria obejmuje robotników tubylczych i ludzi kolorowych, którym płaci się miesięcznie od 40 do 60 dolarów za prace wykonane dla rządu federalnego. Są to ludzie „srebrni". Drugą kategorię nazywa się robotnikami „złotymi". Należą do nich biali obywatele Stanów Zjednoczonych, zarabiający od 250 do 500 dolarów miesięcznie za analogiczne prace.

Sprawa nabrała wielkiego rozgłosu, gdyż przedstawiciele syndykatu robotników CIO odkryli ten pomysłowy podział na kasty i zaprotestowali wobec władz.

cr.

Idylla

W dniach ostatnich opuścił Anglię ostatni transport jeńców niemieckich, powracających do Niemiec. W ten sposób od roku 1946 Anglicy zwolnili około 372 tysięcy jeńców niemieckich, którzy wyjechali do Niemiec. Ponadto około 25 tysięcy byłych jeńców wojennych pozostało na stałe w Anglii, otrzymując tu wszystkie prawa cywilne, narówni z byłymi żołnierzami polskich sił zbrojnych.

Podkreśla się, że odjeżdżających Niemców Anglicy żegnali z rozrzewnieniem. W ostatnim dniu swojego pobytu Niemcy złożyli wizyty pożegnalne swym prywatnym przyjaciołom brytyjskim, a od rządu brytyjskiego otrzymali „skromne upominki" w postaci paczek żywnościowych, obuwia i ubrań.

Warto zaznaczyć, że program repatriacji niemieckich jeńców wojennych w Anglii przewidywał, iż zwalniani będą przede wszystkim „dobrzy — demokratyczni Niemcy", na których nie ciąży zarzut hitleryzmu, a dopiero w końcu — najbardziej podejrzani. Z tego wynika, że wśród Niemców, których tak rzewnie żegnali Anglicy przedwczoraj, znajdował się niejeden SS-owiec.

bs.

Wychowanie dla sztuki

Niezwykle słuszny i ciekawy, zasadniczy artykuł nawiązujący do toczonej na łamach „Kuźnicy" i innych pism literackich dyskusji w sprawie repertuaru teatrów świetlicowych, a zwłaszcza do ostatnich wypowiedzi Seweryna Pollaka i Wandy Melcer, zamieszcza w ostatnim numerze 28—9 tyg. „Wieś" Jan Szczepański w art. pt. „Wychowanie dla sztuki": —

„Dwa hasła — pisze Szczepański — skupiły wokoło siebie długie dyskusje. Jedno z nich brzmiało „sztuka dla sztuki", drugie natomiast „sztuka dla mas".. Jedno i drugie jest nieporozumieniem. Nigdy nie było sztuki dla sztuki, nigdy nie będzie sztuki dla mas. **Zawsze była i będzie sztuka dla określonej kategorii odbiorców przygotowanych do odczucia, przeżycia i zrozumienia dzieła sztuki.** W tych czasach, kiedy krąg odbiorców sztuki ograniczał się tylko do kręgu fachowców, artystów i krytyków — wobec obojętności dla sztuki szerszych warstw społecznych — powstało hasło sztuka dla sztuki. Lecz podkreślić trzeba, że obojętność wobec sztuki nie została spowodowana niezrozumialstwem sztuki; wręcz odwrotnie, obojętność wobec losu artysty i jego dzieła wywołała niezrozumialstwo w sztuce".

Szczepański przeprowadza krótką ale treściwą analizę socjologiczną obu przytoczonych pojęć: „sztuki dla sztuki" i „sztuki dla mas". Podkreśla, że pierwsza jest wynikiem radykalnych zmian, jakim uległa pozycja artysty w społeczeństwie kapitalistycznym i stosunek społeczeństwa do artysty. Wyjaśnia też socjologicznie genezę hasła „sztuka dla mas", tak często wysuwanego, a niekiedy nadużywanego w czasach obecnych przez ludzi nie ogarniających właściwego sensu tego pojęcia. Szczepański analizuje też różne sposoby i możliwości pojmowania tego hasła w dzisiejszej sytuacji historycznej, aby nakoniec stwierdzić:

„Nie jest moim zadaniem dyskutować jak należy pojmować hasło „sztuka dla mas". Wydaje mi się jedno — że utożsamianie „sztuki dla mas" z dążeniem do podporządkowania artysty wymaganiom widza nieprzygotowanego estetycznie, jest równoznaczne z pogrzebaniem sztuki. Zrealizowanie hasła „sztuka dla mas" wymaga najpierw wychowania odbiorców. Nie należy go w każdym razie utożsamiać z próbami zwalczania takich czy innych prób artystycznego eksperymentowania dlatego, że są „niezrozumiałe" dla każdego laika. Byłoby źle, gdyby artysta był „zrozumiały" dla wszystkich, bo znaczyłoby to, że nie ma nic do powiedzenia nowego.

Historia sztuki dostarcza wielu przykładów wielkich nowatorów w sztuce, dla których współcześni mieli stosunek szyderczy lub pełen pogardy z powodu ich „niezrozumiałości". Znany jest los Rembrandta, Cézanne'a i tylu innych. Zadaniem polityki kulturalnej nie jest gnębienie twórców przez podporządkowanie ich wymaganiom tradycji, lecz obalenie muru niewiedzy i obojętności między twórcą-artystą i społeczeństwem. Nie można rozumnie wymagać od malarzy, by malowali ciągle tak jak mistrzowie z dawnych lat. Widzieliśmy na przykładzie monachijskiego malarstwa niemieckiego, dokąd prowadzi ogłoszenie całej sztuki poimpresjonistycznej jako sztuki zwyrodniałej.

Obojętne jaką funkcję społeczną chcemy sztuce narzucić — pierwszym założeniem umożliwiającym spełnianie tej funkcji — jest wychowanie odbiorców. Artysta może się bowiem nawet zastosować do wszystkich postawionych mu wymagań — może być „zrozumiały" itp.; jeśli masy nie zainteresują się jego dziełem, będzie ono zawsze sztuką dla sztuki. Sztuka dla mas, to nie jest tylko sprawa malowania „zrozumiałego" — to jest sprawa malowania na zamówienie szerokiego kręgu odbiorców. A jeśli odbiorca będzie odpowiednio wykształcony, to może się okazać, że właśnie Picasso i Strzemiński lepiej spełniają zadanie artystycznego wyrażania nowej epoki niż eklektyczne malowanie śladami dawnych mistrzów. Lecz wychowanie odbiorców, to długa droga. Prowadzi ona tylko przez ścisłe połączenie planu gospodarczego z kulturalnym. Wychowanie dla sztuki to najpierw podniesienie dochodu i stopy życiowej mas pracujących, zreorganizowanie budżetu rodziny robotniczej, zlikwidowanie alkoholizmu. Dalej to praca od podstaw: dobra szkoła podstawowa, zapoznająca dziecko z dziełami mistrzów i ucząca patrzeć na dzieło sztuki. Wychowanie dla sztuki to dobre reprodukcje w świetlicach i dobre prelekcje o sztuce dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. Przez szkołę, organizacje młodzieży, świetlice itp. (zob. artykuł Prof. Szumana O udostępnieniu sztuki — Dziennik Literacki nr. 25) prowadzi droga do wychowania odbiorców przyszłej sztuki dla mas".

Artykuł J. Szczepańskiego radzimy przeczytać uważnie wszystkim „likwidatorom" klasyków i nie tylko klasyków.

Wywody swoje prof. Szczepański rozpoczyna od przykładu zaczerpniętego ze spostrzeżeń, dotyczących reakcji publiczności na dzieła nowoczesnego malarstwa, wystawione w nowo otwartym muzeum sztuki w Łodzi, o którym pisaliśmy niedawno, muzeum zaskakującym i imponującym, posiadającym bogaty i przemyślany zbiór dzieł sztuki narodowej. W muzeum łódzkim zdobyto się na odwagę zastosowania środka pedagogicznego niemałej wagi w naszym społeczeństwie. Aby pokazać przeciętnemu współczesnemu widzowi w Polsce arcydzieła sztuki nowoczesnej sięgnięto obficie do reprodukcji. Muzeum łódzkie ma ogromne znaczenie pedagogiczne i powinno stać się bodźcem i wskazówką, jak należy planować i urządzać podobne placówki w innych ośrodkach. Połączone z odpowiednią akcją pedagogiczną przyczynią się one niewątpliwie do wychowania odbiorcy, o którym pisze prof. Szczepański.

r. m.

Szekspir w korycie

W swojej polemice z artykułem Seweryna Pollaka na temat repertuaru w świetlicach p. Wanda Melcer posuwa się naszym zdaniem za daleko. Słusznie wprawdzie domaga się przewagi repertuaru współczesnego nad klasycznym, ale niesłusznie napada przy tej sposobności na Szekspira, którego dzieła uważa za przestarzałe i w ogóle nie tak znów dobre jak się o tym mówi. Jeżeli nie wierzycie — przeczytajcie! Artykuł taki ukazał się w „Odrodzeniu" Nr 28.

Nosi tytuł **„Szekspir na półmisku"**. Wanda Melcer pisze z całą otwartością i swobodą: „przecież cztery piąte w Szekspirze... to anachronizmy, sprawy pasjonujące szesnastowiecznego widza, ale dla nas tajemnicze rzeczy, do których musimy podchodzić ze słownikiem"... Po tym wstępnym oskarżeniu Wanda Melcer woła wielkim głosem: „Wołam wielkim głosem o odrobinę zdrowego sensu i przysięgam sobie, że na następne zebranie (mowa o zebraniu literatów) przyjdę z tomem Szekspira i odczytam na głos „Koriolana". Muchy będą spadać ze ścian, nie tylko moi dystyngowani słuchacze z krzeseł" itd.

Żal nam much i żal nam miłej Wandy Melcer, nie będziemy więc bronić Szekspira. Biedny Szekspir nie takie brał cięgi, a i tak się sam obronił. Ale posłuchajmy co dalej. Wanda Melcer dowodzi dalej, że jeśli będziemy popierali mglistość i niezrozumialstwo (niby ten Szekspir jest niezrozumiały) to „gotów nam przepaść cały Mickiewicz".

Droga, miła pogromczyni Szekspira! Skąd ten kult Mickiewicza, ta obawa, że przepadnie? A niech przepadnie, jeśli Szekspir ma przepaść! „Gińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!" jak powiedział inny wieszcz, który już przepadł.

Ręczę pani, droga, miła Wando Melcer, że w wielu, bardzo wielu wypadkach odczytanie „Sonetów Krymskich" spowoduje spadnięcie „z krzeseł" słuchaczy. Również „Liryki lozańskie" spowodują to samo, droga pani. Ręczę, że ludzie będą padać jak muchy przy lekturze „Dziadów" wileńskich i dużych partyj „Konrada Wallenroda" itd. Pozostanie chyba tylko „Pan Tadeusz". Ale gdybyśmy tak dobrze poszukali, to może by się coś w Szekspirze także znalazło.

W ZSRR wystawia się i fetuje Szekspira. I nikt tam z krzeseł nie spada, droga pani!

Tak, w tym artykule podano nam Szekspira nie na półmisku, lecz w korycie, jakby powiedziała przekupka z Windsor.

a. z.

Poezja w czasopismach

Pisaliśmy niedawno na tym miejscu o braku zainteresowania ze strony krytyków i recenzentów dla poezji. Wpływa to nie tylko na zmniejszenie czytelnictwa poezji, przyczynia się również do zaniku kryteriów, pomieszania pojęć, słowem do tego bałaganu poetyckiego, który rozlewa się mętnymi falami po kartach naszych czasopism i dzienników.

Inteligentnie redagowany „Dziennik Literacki" przynosi w numerze 28, obok ślicznej romancy Garcia Lorca w dobrym przekładzie Słobodnika, wiersze jednego ze śląskich poetów, wydrukowane na pierwszej stronicy numeru.

Oto wyjątek:

Z baru Mi-mi młoda pani w futrze
wyszła kusząc od razu pod murem,
kiedyż noce będą znowu krótsze
bym mógł na nią zsyłać lazury

niebieszczące poszczypane piersi
pod bordową kołącą bluzką,
w narzuconej na plecy sierści,
migocącej jak jemiołuszka.

Gruz pamięci i teraz jak dzidą
ostrą gonię za światem głową
z gwiazdą bladą u włosu jak gnidą,
w wąską czeluść Plebiscytowej.

Sądzimy, że umieszczenie takich zwrotek w poważnym piśmie świadczy bezwzględnie o zaniku kryteriów, gorzej świadczy po prostu o braku — proszę wybaczyć rym — smaku.

Nawet „Twórczość", doskonale radząca sobie z innymi działami zamieszcza utwory poetyckie wyjątkowo nierównej wartości.

„Źle się dzieje w państwie duńskim" powiedział Hamlet. Źle się dzieje w państwie poezji...

gr.

MIECZYSŁAW JASTRUN

SEZON W ALPACH

I INNE WIERSZE

stron 120 zł. 180

1948

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-75
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy"
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.
D-028470

KSIĄŻKI NADESŁANE

Julian Niemcewicz: Powrót posła. Oprac. Stanisław Kot. Wyd. V. Nakład wydawn. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 100.

Juliusz Słowacki: Lilla Weneda. Oprac. Michał Janik. Wyd. VI Nakład. wydawn. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str 150.

Gustaw Morcinek: Inżynier Szeruda (Powieść). — Nakł. „Ognisko" — Spółdz. Księgarska — Katowice i Spółdzielczy Instytut Wydawniczy — Warszawa 1948, str. 261.

Jerzy Kossowski: Śmierć w słońcu. Nakład. Zakładów Wydawniczych B. Matuszewski, Warszawa 1948, str. 255.

Album Jubileuszowy Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana. Nakład. Komitetu Jubileuszowego Teatru Polskiego i Arnolda Szyfmana, Warszawa 1948, str. 103.

Ignacy Fik: Socialne rodokmen polske literatury, Nakład. „Orbis—Praha", Praha 1948, str. 125.

Sjezd Narodne kultury, sbirka dokumentu. Nakład. „Orbis—Praha, Praha 1948, str. 347.

Wiktor Niekrasow: W okopach Stalingradu. Nakładem Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1948, str. 325.

Reformacja w Polsce, rocznik IX—X, 1937—1939, organ Towarzystwa do Badania Dziejów Reformacji w Polsce. Nakł. Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1939, str. 528.

Stefan Żeromski: Zamieć. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1948, str. 243.

Wiktor Hugo: Dzwonnik z Notre Dame, część II. Nakład. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1948. str. 64.

Kazimierz Brandys: Między wojnami. Samson. Nakładem Spółdz. Wydawn. „Czytelnik", Warszawa 1948. str. 227.

Wanda Bobkowska: Pruska polityka szkolna na ziemiach polskich w latach 1793—1806. Nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1948, str. 391.

Louis Aragon: Rewizja. sztuka w 1 akcie. Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1948, str. 32. zł 100.—.

Lucian Dobrowolski: Higiena pracy — wczasów — snu. — Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka", Warszawa 1948. str. 104. zł 150.—

Stefan Żeromski: Sułkowski. Jeden akt — skrót sceniczny. oprac. przez Tadeusza Żeromskiego. Nakład. Spółdz. Wydawn. „Książka" Warszawa 1948, str. 35, zł 100,—.